

# odgłosy



Nr 17 (321)  
26. IV. 1964 R.  
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK

ROK VII

**W numerze: Człowiek nie rodzi się żołnierzem • Przeszłość czytana z ziemi  
• Powroty • Pisarz amerykański u siebie • Trochę ryzyka, panowie •  
Nie można żyć bez miłości • Zwierzenia aktorów • Felietony • Recenzje**

## SONETY Williama SHAKESPEARE'A

38

Przełożył Jarosław Marek Rymkiewicz

Choć prosi Muza, temat się nie zmieni.  
Ty tylko jeden moich wierszy bywasz  
Słodkim tematem, bo twe słodkie tchnienie  
Ocalić pragnie strofa ma znikliwa.  
A jeśli wiersz ów w innych wierszy tłumie  
Zda ci się błyszczeć, tyś to zechciał sprawić;  
Mogąc cię wielbić, któż by milczeć umiał:  
Tyś światłem wiersza. Wiersz chce ciebie sławić.  
Dziesiąta Muzo, chłopcze, dziesięć razy  
Piękniejszy niżli córki Mnemozyne,  
Który ci w darze niesie te obrazy.  
Niech wie, że nigdy w czasie nie przemina.  
O, niech ma Muze przyszłość chce mieć  
w pieczy.  
Dla ciebie sława. Dla mnie trud człowieczy.

125

Na cóż mi one są pozory tania:  
Baldachim nosić albo kłaść z kamieni  
Wieczny fundament pod wieczne mieszkanie,  
Gdy czas w ruinę wszystko tu przemieni?  
Czyż nie widziałem? Wszystko już stracili,  
Cień, dym, wiatr, pozór którzy w cenie mieli,  
Co słodkie zbyt, zbyt drogo opłacili,  
Łaknący wciąż, choć smak wnet zapomnieli.  
Pozwól, niech tobie tylko służę szczerze,  
Weź, co przynoszę, wszystkim oddać skory:  
Kto dał bez miary, ten bez miary bierze,  
Niech ciebie w zamian, z siebie dając, biorę.  
Lecz gdyś mnie zdradził, gdyś już przekupiony,  
Wiedz: nikt nie władnie duszą oczernioną.



131

Takeś okrutna i takeś zdradliwa,  
Przeło do pięknych tak podobna bogiń,  
A wiem, żeś serca mego pani chciała  
I sercu jesteś niby kamień drogi.  
Przecze to mówią, których nie nie nęka  
Ze ty, o pani, lez nie jesteś warta?  
Czyli się mylą? Przeczyć im się lękam,  
Chociaż im przeczy miłość ma uparta.  
Ze łzami klę się, że owa twarz gładka  
Lez mych jest godna i tzy z oczu płyną  
I wzywam każdą z moich lez na świadka,  
Ześ, czarna pani, piękna jest na ine.  
Biała jest pieć twa, czyni twe są czarne.  
Stąd, myślę, pani, te potwarze marne.

140

Bądź mądra, pani, gdyś nielitościwa,  
Nie gardź zbyt jawnie, bo ów ból wzgardzony,  
Który milcząca ma tesknica skrywa,  
W słowa obłokę, w płacz nieutulony.  
Nie żądam, byś mnie miłowała pani,  
Lecz aby miłość była w twojej mowie.  
Bo i chorego, gdy śmierć u drzwi stanie,  
Lekarz zapewnia, że mu służy zdrowie.  
Szalonym wieściom gotów dać jest wiarę.  
A przeto, pani, strzeż się przebrać miarę,  
On świat szalony czeka na me słowa,  
Szalonym wieściom gotów dać jest wiarę.  
Bym ci nie ujął, bym nie był oszczercą.  
Zwróć na mnie oczy, choć mnie nie masz  
w sercu.

## JANUSZ ROSZKO RYCERZE WZDUKAJĄ WIATRÓW

Motto: „Cały kłopot z fikcją literacką polega na tym (...), że za dużo w niej sensu.”

Aldous Huxley

Pociąg był dobrze mierzony, przeleciał ponad rzeką i wybuchł przy trzech samochodach. Generał biuzgał krwią jak marmolada, leżąc na murawie wycharczał ostatnie słowa: „Palcie i mordujcie!” Była to czarna niewdzięczność wobec Działoszy-na, gdyż Działoszyn sprowadził sto lat temu darni aż spod Płocka, aby przykryć nad-

rzeczne piaski, dzięki czemu generał Dill mógł malowniczo oddawać ducha na tle zielonej murawy, blisko rzeki Warty, koło kolonii losowskiej. W kilka godzin po śmierci generała Działoszyn zamienił się w kolumnadę osmolonych kominów, tyle tylko zostało z domów, można było przez te kominy, jak przez palce patrzeć na drugi koniec miasta.

Piaskowe wzgórza schodzą łagodnie ku Warcie, której powolny nurt zakreśla wokół Działoszyńska pętle. Na piaskowych wzgórzach stoją mury wieże, przypominające średniowieczne donżony, ale są takie śmiecznie małe te zamki, załedwie jednoosobowe. Rycerze mogą siedzieć w środku, jeść obiad, układać pasjanse, ale gdy wstana — przyłbica ukaże się w otworze górnym wieży, bowiem te kamienne wieże mają u góry otwory. Po drugiej stronie Warty tam gdzie stała polska bateria, z której padł decydujący strzał stoją wielkie, białe bloki. Między rzeką a białymi blokami idzie cheralawa uliczka o nazwie „Częstochowska”, będąca zbieraniną chat i domków różnego kształtu. Jedne sklecone jeszcze w tym czasie, gdy na pamiątkę zgonu generała Działoszyn nazwano z niemiecka „Dilltal”, inne już po wyzwoleniu. Jedne za handel wełną, inne za handel skórą. A między domkami stoi jeden porządny, państwowy, na parterze przedszkole, na pięterku władza ludowa geomadzka. Tyle ode mnie. Wchodzę do budynku.

Drabowicz (dziś jeszcze, tak samo jak przez 14 lat — przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej. Jutro po sesji, będzie już przewodniczący drugi): Męła była wtedy duża od Warty, gdy wcześniej rano szedłem zanieś żołnierzom kawę do stodoły. Masa wojska stała po stodołach. Ktoś powiedział: „Wieluń zbombardowany”. Zaczęłam krzyzczeć, że nie wolno szerzyć paniki. Ale od Wielunia nadleciały samoloty „pewnie nasze — próbny alarm!” — powiedziałem.

Znaków na samolotach nie było widać przez mgłę. Nie odszedłem daleko — do kapliczki, gdy zaczęły lecieć bomby na Działoszyn. Najpierw zapaliło się w restauracji u Ciemięgi na Trębackiej, potem Bank Żydowski na rynku... Domy z kruchego kamienia waliły się od samego podmuchu powietrza. Tak zawalila się piwnica u Różańskiego, zginęła cała rodzina i fotograf, Woźniak się nazywał. Miał piękny zakład, to był fotograf z zamiłowania, wystawę miał cudną, kolorowe zdjęcia. Od tego czasu nie ma fotografa w Działoszyne.

Po trzecim bombardowaniu było na ulicach mnóstwo trupów i wielki pożar. Wszyscy — kto żył — rzucili się do ucieczki. Zostali tylko starcy. Niemcy, gdy weszli do miasteczka — zapalali te domy, które jeszcze się nie zapaliły od bomb. Rzucali przez okna granaty. Ocalało coś 16 domów, które wybrali sobie na kwatery. Ruiny kazali rzbierać — i z tego kamienia zbudowano coś 8 kilometrów drogi w stronę Siemkowiec... Za rozbiórki Niemcy pili i markę dziennie.

Gdy ludzie wrócili — spali pod gołym niebem, pod wrotami, na gołej ziemi. Różnie. Dopiero po wojnie ruszyła odbudowa. Ale były kłopoty. Musiałam budować wczesnym rankiem i po południu, bo w dzień milicja robotników rozpędzała. Miałam być pobudowana tama na Warcie i teren Działoszyńska zelany. I tak zapieściłem wtedy za budowę 6000 złotych na stare pieniądze. Cholera, wójt mi tak przywalił...

Całe obszary przedwojennej egzotyki, żydowskich sklepików z brodatymi chasydami i skrzyntami towarów na chodnikach, targ na rynku — z olśniewającą galerią wyrobów masarskich, wystawiana przez 25 działoszyńskich masarzy, wreszcie zabawy w super-lokalu u Malatyńskich gdzie sala do tańca, restauracja i pokoiki do noclegów były pospółem... Cóż z tego, kiedy gros działoszyńskich uciekało do Niemiec a robotę, do Finlandii nawet jeździli. A

do Niemiec stręczył Żyd Chaskiel z Praszki, 5 marek dostawał za jednego robotnika rolnego. Więc szmuglował żywy towar przez granicę. A z zagranicy — eter... Stare to dzieje jeszcze za czasów carskich. Do dziś działoszyńscy potrafili jeszcze pochwalić się nienaganą techniką picia eteru, z odpowiednim wdechem, wydechem i przydechem... Przed wojną baby na targ przychodziły w grubych okularach z fiaszekką i kostkami cukru w kieszeni. Eter po kropelce lały na kostkę i jady. Eter niszczy wzrok. Piekarz Szczerkowski znowu zwany „lyszczką” — nosił w piekarni lyszczkę i co chwila na nią nalewał ulubione „kropełki”...

To wszystko stare dzieje. Działoszyne po wojnie pragnął się odbudować... jak? Ziemia nieurodzajna, przemysł daleko. Rozpoczęła się era handlowa, era złotych czasów Działoszyne — gdyż mieszkańcy miasteczka okazali niebywały talent w tej dziedzinie. Wełna, skóry twarde, skórki na kozuski, wapienniki... No... Mieli działoszyński pociąg do miłości, a także miłość do pociągów.

Anonim I (Ale słowo, że pan nie puścił farby!): Jest taki wawóz w stronę Siemkowiec, lokomotywa tam sapia, bo jest pod górę. Pociągi zwalniają, a trzeba panu wiedzieć, że wtedy idzie główna magistrala Śląsk — Gdynia, ta przed wojną wybudowana przez francuską spółkę. Więc pociągi, którzy czaili się w tym wawozie, wskakiwali na pociąg i rzucali towar. Raz węgiel, innym razem wełnę. Czasami odczepiali cały wagon. Potem australijską wełnę, co szła z Gdyni do Bielska brudziła, deptała, wilgociła i donawala piasku, aby bez obawy jako własną sprzedać w Łodzi. Nie chciałbym być ogrodnikiem i przesadzić, ale kilka wagonów rodacy na tej gorce

Dalszy ciąg na str. 3

# Paradoksy demokracji

Demokracja polityczna w krajach kapitalistycznych miała (i ma) swoich krytyków na lewicy, lecz swych wrogów na skrajnej prawicy. Ci pierwsi wskazywali na ograniczone możliwości demokracji w warunkach nierówności ekonomicznej i społecznej, na różnicę pomiędzy istniejącymi w demokracji formalnymi instytucjami a idealnym faktycznym równością ludzi. Ci drudzy, rekrutując się z obozu konserwatyzmu, a współcześnie — faszystów, rozwinęli systemy ideologiczne, w których błędy logiki współzawodniczą z wypaczeniem faktów, lecz które nie mniej uzbudowały moralnie do ataków na zdobyte mas w zakresie wolności i równości politycznej. Bojownicy ruchu robotniczego wskazywali, że „nie ma socjalizmu bez demokracji” (Lenin); dla faszystów słowo „demokracja” (albo ulubione przez nich słowo „demoliberalizm” było inwektywą. Pierwsi uważali siebie za najbardziej konsekwentnych zwolenników demokracji nieograniczonej; drudzy widzieli w niej największe źródło zła. Jedni i drudzy dzielili tylko jedno przekonanie, to mianowicie, że demokracja stwarza warunki dla ostatecznego obalenia wszelkich przywilejów, wszelkiej nierówności; toteż pierwsi widzieli w niej środek do celu, drudzy — niebezpieczeństwo, które należało unicestwić.

Zajmiemy się jednak obecnie krytyką instytucji demokracji nie ze strony określonych sił społeczno-politycznych, lecz ze strony przypatrującej się jej rzeczowo i obiektywnie nauki — socjologii stosunków politycznych, czerpiącej swój materiał zarówno z historii jak i z zjawisk współczesności. Oczywiście, wśród ludzi zajmujących się tą sprawą istnieją zaznane dyskusje i rozbieżności poglądów, które — zauważmy — posiadają w związku z toczącymi się ogólnie sporami ideowo-politycznymi. Zajmiemy się tymi poglądami, które w swym krytycyzmie sięgają najdalej, a jednocześnie zawierają w sobie elementy odkrywcze i oryginalne.

Demokracja nosi w sobie — powiadają ci krytycy — zarodek swej własnej zagłady. Współczesna demokracja była głównym czynnikiem profesjonalizacji polityki. W warunkach przeddemokratycznych, gdy istniały określone swobody i ustroj parlamentarny, lecz prawo wyborcze ograniczone było do kilku procent — głównie posiadaczy własności (a więc w takich warunkach, jakie panowały w Stanach Zjednoczonych do początku XIX wieku, w Anglii do 1867 roku, we Francji w okresie Monarchii Lipsowej), życie polityczne miało charakter dużej spontaniczności, politycy byli na ogół ludźmi śmiałymi i niezależnymi, partie polityczne miały charakter luźny, a ich rola w społeczeństwie była ograniczona. Wielogłose w życie polityczne najszerszymi mas, obdarzenie ich prawami wyborczymi, stworzyło zjawisko masowych, dobrze zorganizowanych partii, o sprężystym, często dyktatorskim kierownictwie, które posługują się potężnym, zawodowym aparatem urzędników-polityków, urzędników-ideologów, urzędników-dziennikarzy itp., oraz dysponuje dużymi funduszami. Partie, początkowo wyrażające wolę określonych grup ludności, stają się organami woli te kształtującymi, manipulującymi zarówno sferą racjonalną, jak i emocjonalną szerokich mas ludzkich (grup zawodowych, klas, narodowości). Stają się one nie raz celem samym w sobie. Społeczeństwo służy zawodowcom politykom, a nie odwrotnie. To zabija istotę demokracji — możliwość samodzielnego wyrażania swych poglądów i

woli przez indywidualne osoby świadome swych równych praw, zrzeszające się czasowo lub trwale w organizacje pozostające pod stałą kontrolą swych członków.

Istnieje drugie, równoległe występujące zjawisko. Wiek liberalny był wiekiem „państwa-stróża nocnego”, gdy zakres działania państwa był jak najbardziej ograniczony, gdy jego aparat był zredukowany do niezbędnego minimum. Wiek demokracji przyniósł rozwój stale rozszerzających się kompetencji państwa i jego organów. Wzmocnił się i rozbudował aparat mający na celu ochronę spójności państwa i jego podstaw ustrojowych przed atakami ze strony sił „wrogich, którym demokracja dala różnorodną broń do ręki. W warunkach demokracji zaistniała konieczność rozbudowy systemu oświaty, opieki i ubezpieczeń społecznych, ustawodawstwa szeroko ingerującego w różne dziedziny życia ekonomicznego itp. Ogólna więc tendencją jest przejęcie przez państwo wielu funkcji dawniej spełnianych przez dobrowolne zrzeszenia społeczne (np. w zakresie oświaty, ubezpieczeń), obecnie bardzo rozbudowanych. Powstaje więc nowoczesna biurokracja, rozszerzająca stale swe kompetencje, wzmacniająca się kosztem społeczeństwa, ograniczająca możliwość współdziałania mas we władzy względnie wpływu na nią — a więc możliwości stworzenia właśnie przez demokrację.

W tej więc wersji krytycznej demokracja rodzi zjawiska ograniczające ją, a nawet niweczące jej istotę. Niewiele znaleźć można słabych punktów w tej krytyce. Można np. wskazać na rozwój współczesnej techniki, który — niezależnie od ustroju politycznego — prowadzi do takich samych zjawisk. Można udowodnić, że do wzrostu roli państwa prowadzi intensyfikacja konfliktów międzynarodowych i związane z tym postępy techniki wojennej. Te i podobne obserwacje wniosą pewne uzupełnienia lecz nie obalą sensu przedstawionej powyżej krytyki.

A jednak analiza, której zakres zreferowaliśmy, winna ulec dalszemu pogłębieniu. Winniśmy zapytać, w jakim stopniu stosunek zachodzący pomiędzy ustrojem nierówności ekonomiczno-społecznej a formalną równością polityczną kształtuje zarówno zjawisko profesjonalizacji polityki jak i biurokracji całości kształtu życia. W jakim stopniu określa on treść społeczną tych zjawisk. Zauważyliśmy też, że w poszczególnych państwach kapitalistycznych zjawiska te występują w różnym natężeniu. Obok tradycji historycznych największą rolę odgrywa ogólny poziom oświaty i zdolność poszczególnych grup społecznych, w szczególności grup masowych, zrozumienia swych problemów i ich rozwój życiowy. Jeśli więc w krajach kapitalistycznych szukamy warunków, w których na drodze pokojowej, a więc najkorzystniejszej, dokonąć mógłby się postęp społeczny, a ostatecznie przejście do wyższego ustroju, to zapewne znaleźć by je można właśnie w takich krajach, w których masę nie dały się okiełznać machinami politycznymi — propagandowym i biurokratycznym, działającym w interesie grup elitarnych.

O innych warunkach tego procesu wypadnie nam mówić przy innej okazji. Należałoby tam poddać analizie podobne zjawiska występujące w zgola innych stosunkach ustrojowych krajów socjalistycznych, ustalić analogie i rozbieżności, a następnie wyciągnąć wnioski.

Panoramyczny film Wandy Jakubowskiej oparty na powieści Tadeusza Hołujy „Koniec naszego świata” i pod tymże tytułem, po swej paryskiej światowej premierze z okazji sesji Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, po pokazie we Frankfurcie n/Menam (proces oświęcimski), wreszcie po ekspozycji na praskiej manifestacji 100 tys. obywateli CSRS — w końcu objawił się w Polsce. Gdy zapalają się światła, ogarnia nas psychoza samotności. Film krzyczy tak głośno, że konsumentowi pozostaje już tylko cisza. Ciężar martyrologii przyciska człowieka do krzesła i, każąc odrzucić racjonalistyczne przesłanki, zapuszcza sondy w podświadomość.

A przecież film ten ma służyć dobrej sprawie, ale po to winien być należycie odczytany, powinien rozumnie rzutować na epokę big-beatu, żeby w ogóle był strawny dla współczesnej młodzieży. Bo wreszcie o nią tu przede wszystkim chodzi, ona stworzy jutro dnia dzisiejszego.

Zaprezentowanie publiczności dobrego filmu o obozie koncentracyjnym to sztuka nie lada, ale to nie wszystko. Rzecz w tym żeby rozszyfrować jego głębszy sens. Prawd subiektywnych jest tyle ilu ludzi, istnieją jednakże zobiektywizowane walory społecznego osądu i przy tych chcielibyśmy się zatrzymać w naszym komentarzu do „Końca naszego świata”. Wzrost w Oświęcimiu był podporządkowany innym prawom niż na wolności i jeżeli do anormalnych praw stosować normalne kryteria etyczne — film zawsze będzie odbiegał od prawdy. Ale ta trudność jest nie do pokonania i nie pozwoli osiągnąć ideału realizmu. Tedy z obrazu obozu należy wyjąć i pokazać to jedynie, co posiada bezsporny walor wychowawczy. A tym czymś nie będzie indywidualny bohater w obozie, bo być nie może. Najbardziej pozytywna jednostka była zmuszona do takich odruchów, które, gdy z wygodnego fotela spogląda się na ekran, nie mogą nikogo zbudować (nasz Henryk w walce o miszkę zupy). Ba, człowiek prawy i dzielny musiał, bywało, skazać na śmierć innego (jak Henryk sztubowego). Trzeba było zabić jednego, aby ocenić st. Osąd takiego czynu podług paragrafu kodeksu i w myśl zasad etyki nie ma sensu, zmusza bowiem do tego nie „zła ludzka natura” ale faszizm: on tu jest negatywnym bohaterem a nie „koniec świata”.

Jeszcze jedno uтрудnienie dla wychowawczej analizy filmu: nie mamy w nim dosłownie ani jednego środowiska, którego charakterystykę dąłoby się przeprowadzić. Widzimy tu jedynie reprezentantów niektórych środowisk, często zetkniętych ze sobą na zasadzie przypadku, bez jakiegokolwiek zamierzonej autorskiej, twórczej koncepcji. Pod tym względem film pozostaje daleko w tyle za książką, a książka — daleko za rzeczywistością Oświęcimia. No bo nie tylko wygarniętych z kawiarni, jak w jednym ze scen filmu, sadzano w obozie. Czyż wobec tego jest możliwa charakterystyka antyśrodkowa? Jak pokazać prawdę o Wiesz Babel?

Autorzy książki i filmu krzyczą: Oświęcim to anus mundi, odbytnica świata, czyszczenie, a więc i koniec świata. Ten szczyt twórczy nie realizuje nauki o uszlachetnieniu człowieka. Kodem tym można przestraszyć i rozbić moralnie. Czyściciel to bowiem nie za swoje winy. Zatem koncepcja anus mundi jest chybną. Trzeba raczej iść inną drogą wiodącą do końca świata i kłęk, osobistych i klasowych, a

więc rozczarowania i kłęk narodowej — by pokazać drogę ku lepszemu światu, ku zniszczeniu możliwości istnienia kacetów.

Zaczniemy od tego, że wielu umierało na chorobę straconych złudzeń. To był na pewno jakiś umowny, szczęśliwy „koniec świata”, w skali narodowej, Trochę to na filmie widzieliśmy. Zróżnicowanie jednakże jest pożądane. W innej skali mienią się ów „koniec świata” bezrobotnemu fernalowi, komuniście w więzieniu, nauczycielowi wiejskiemu — a w innej hrabiom Potockim i żandarmerii. Narodu nie zmartwił upadek legendy I Brygady, przegrana sanacji. Pracujący inteligent i robotnik, zamknięty w Oświęcimiu, nie za klanem pułkowników tęsknił. Powoli, dzień za dniem, zaczął sobie wyobrażać inną Polskę, kraj sprawiedliwości społecznej i nawet, przymierzając głodem za drutami, obserwował pomruk światowej fal, nie-

## Jaki koniec czyjego świata?

sący mu tę nową Polskę. W filmie Jakubowskiej tego zjawiska nie widać. Tam nawet i dla tych, którzy czuli nowy świat, twórcy filmu zgostowali koniec świata. Pod tym względem film jest społecznie chybnym. Trzech nagich na śniegu w obliczu oszalełego od głodu stada wlków — oto co zafascynowało reżysera. Ten kontrast oczywiście „bierze” w filmie najmocniej, artystycznie ukazano jest świetnie, owa kruchość życia człowieka w obliczu terrorystów, ale filmowi brak polaryzacji społecznej, stąd może złudzenie „końca świata”.

Ludzie w filmie nie dzielą się podług światopoglądu ale wzdłuż linii „szczęścia i nieszczęścia”. Za dużo „krwawych Józków”, ani jednego nauczyciela.

Nie przeceniamy zatem ogólnoludzkiego czyli moralnego aspektu, jaki by miał uzasadnić tezę o „koncu świata”. Pod tym względem Oświęcim przez swój pejoratywny przykład zbliżył narody do siebie, a nie oddalił. Owszem, zdarzyło się, że ten kto wierzył tracił wiarę, niedowiarek szukał ucieczki w modlitwie, złodziej wyrastał na wzór cnót, dziewczyna lekkiego prowadzenia stawiała się bohaterką, a dama sprzedawała się za kawalek chleba.

Jeżeli jednak chodzi o ogół wiezionych, trzeba krzyknąć całą prawdę:

nie udało się oprawcom zniszczyć ludzkiego moralnie i solidarności międzynarodowej. W Oświęcimiu może było z tą sprawą gorzej niż w niektórych innych kacetach; żadne ze środowisk nie wysunęło zdecydowanej przy tym deklaracji ideowej, w innych obozach było to jednak na porządku dziennym. Siad ten trujący czad jaki pozostawia film, Hołuj, a za nim scenarzysta i reżyser w jednej osobie, sił się wprawdzie na pokazanie ruchu oporu, ale wychodzi to jak przysłowiowa prywatna irracjonalność. Sam bunt Sonderkommando jako akt rozpacz przed i tak nieuniknioną śmiercią nie ratuje organizacyjnej mimikry filmu: jest ona rachityczna; brak w tej niby organizacji podziemnej autorytetu moralno-politycznego jaki emanował w konspiracji Buchenwaldu i Mauthausen. W samej rzeczy, nawet każdy z oświęcimiaków, którego wywieziono w transportem do Buchenwaldu powiadamy, że w porównaniu z tym ostatnim Oświęcim był dżunglą ludzką. To w jakimś stopniu tłumaczy twórców filmu, choć po prawdziwie organizacja więźniów w rzeczywistości, a nawet w samej powieści jest mocniejsza aniżeli prezentuje to nam film, budzący więcej grozy niż optymizmu w przyszłość świata. To jest jego błąd. Na filmie zaczął w znacznym stopniu aumanizm wzajemnych stosunków (nie w każdym wypadku), jakaś fatalna przypadkowość kontaktów, brak myśli przewodnej i nieobliczalność konsekwencji. To by uzasadniało po części tezę o odrębnej prawdziwie obozowej oświęcimskiej i jego specyfice z nutą szaleństwa w atmosferze.

Zauważymy w porównaniu z powieścią film traci. W tym wypadku jest tak i siak. Książka głębiej sięga w konspirację, za to film, eliminując natłok akcji, ludzi, prowadzący do nikąd dialogów, omijając niejasności rozpoczynanych i nie kończonych wątków, a skupiony wokół losu paru głównych bohaterów, jest bardziej przejrzysty. Posiada przy tym ogromny walor plastyki i scenerii, zrobiony jest jeśli chodzi o stronę czysto filmową — wizualną — z gigantycznym rozmachem.

Wreszcie ostatni akcent, nazwijmy go konfrontacją strachu o koniec świata z powojenną rzeczywistością. Jak widzimy, faszizm nie przeskoczył świata w dalszym jego rozwoju, mimo wielkich ofiar jakie za sobą pociągnął. Trzeba to widzieć i nie popadać w nastroje paniki. Narody świata wybierają sobie sprawiedliwsze ustroje i wywalczą wolność. Tej perspektywy przynajmniej — film, realizowany w 20 lat po Oświęcimiu, nie zarysował. Nawet o Polsce się nie mówi, jaka ona będzie. Wspomina się jedynie, że Armia Czerwona osiągnęła linię Buga, ale rysuje się to nierealnie, niby odłask ostrza miecza za szóstą górą. A prawom historii nie pilno do końca świata.

Jednakże film osiąga coś, co ma pewien walor wychowawczy: budzi przekonanie, że ludzie, którzy działali solidarnie w ostatecznej rozgrywce z bestialskim systemem nie dali się upodlić i wyszli z tej strasznej próby zwycięsko. Co prawda nie widać w filmie sily, która ich do tego natębiła, ale wierzymy na słowo. Wierzymy w przemiany Maryjki, która niemal aż do końca powiadała Henrykowi: „Durniu kochany, znówu się pchasz w nie swoje rzeczy”, a jednak sama pojechała w nieznaną, porzucając męża. „Nie opuścić moich Cyganiatek”... Zginęła razem z tymi dziećmi. To chyba najważniejszy i najniebezpieczniejszy moment filmu, choć balsamem na nerwy dzisiejszego człowieka to wybitne dzieło ekranu nie jest.

# POLONICA

## POCZTA Z POLSKI

Pod tym tytułem (Post aus Polen) zamieszcza tygodnik „Sonntag” (Berlin wschodni) całą kolumnę wiadomości z Polski. Oprócz artykułu Hirscherberga o twórczości Jarosława Iwaszkiewicza z okazji jego jubileuszu, znajdziemy w piśmie informacje dotyczące teatru i filmu, nauki i oświaty oraz życia kulturalnego. Strona „Sonntagu” zawiera również ilustracje (portret Iwaszkiewicza i salę senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego).

## LOSOSY PORTRĘTU ROUSSEAU

W szwajcarskim miesięczniku „Pantheon” (nr 2 z lutego br.) znajduje się artykuł, poświęcony losom portretu Jana Jakuba Rousseau, który w r. 1770 namalował Jean-Etienne Liotard. Otóż portret ten został w r. 1786 sprzedany wraz z innymi pracami artysty pewnemu handlarzowi obrazów. Handlarz obrazów sprzedał z kolei

stów, którzy posiadają techniczną wiedzę i fachowe umiejętności, bez których nie można tworzyć filmów. Chodzi o kształcenie takich artystów, którzy umiemy posługiwać się zdobyczanymi wiedziami i potrafią zrozumieć epokę i świat, w którym żyją, wreszcie takich artystów, którzy nie traktują sztuki filmowej jako zjawiska ezoterycznego, lecz jako środek pobudzający wielkie masy publiczności do myślenia”.

## WYWIAD Z MAURICEM NADEAU

Francois Bondy przeprowadził wywiad z Mauriceem Nadeau, znanym i znakomitym krytykiem tygodnika „L'Express”. Nadeau uchodzi w Paryżu za entuzjastę i rzecznika literatury obcych, w tym również dzieł literatury polskiej. Bondy pisze w swym artykule: „Do dzieł, w których propagowanie Nadeau szczególnie się zaangażował, należą utwory Bruno Schulza i Witolda Gombrowicza”.

# POLONICA

# JANUSZ ROSZKO RYCERZE WZNIKAJĄ WIATRĄKÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

odpieli od pociągu... To jednak nie był główny tor działalności. Najpierw był handel rowerowy. Tutaj rzeczywiście hodują wiele owiec więc ruszyli ludzie na rowery skupować wełnę. Potem prali ją w domu i zawozili do Łodzi i Bielska. Oczywiście nie tylko prali. Dolewali wody i dodawali piasku, bo piasek nadwarciański na pewną górę jest biały i miękki jak puder. Jeden z Raciszyna, jak był pod dobrą datą, tak oto przemawiał: „Ko-hana piaskowa góra, kiedy ją cię tyż wywozie!” Pół góry ubył, może pan sprawdzić. Niech pan dobrze wytrzebie swoją marynarkę, może i pan ma na sobie ten działożyński piasek?

Inny gang prowadził szaflikowanie, czyli nielegalny garbunek. Skórki baranie wyprawiali się „ospa”, szybko, jedna za drugą. Jednego dnia jeszcze była baranie, a za dwa dni już na grzebiecie jakiegoś warszawiaka. Deszcz zmoczył kożuszek i warszawiak miał blachę na plecach, zamiast lekkiej skórki. Takie to i było wyprawianie...

Inny, zważszy był świat po wojnie — chociaż narodził się na ostygiach załedwie gruzach. Ale też ruiny zaczęły zniknąć. Powie ktoś śledząc ze mną w kniarni „Kosmiczna” i patrząc przez okno, że załona jest panorama tego odbudowanego własnymi rękami Działoszyńca, że malutkie i biedne są te domki zlepione z gliny i kamyków, że chyba tylko dlatego budowano tutaj osiedle. Nigdzie indziej, nie mając takiego kontrastu nie wyglądałoby tak wspomnianie...

Dębski (majster robót torowych cementowni, twarz czerstawa, wygląda na słaćca): Nasz dom był jeszcze niewykończony, otoczyło go 6 Niemców i jeden folksojcz Smolarek. „Zięcia bierzemy” — powiedział starszkowi jak otwierał drzwi. A Smolarek poradził: „Zabieraj co możesz, pojedziesz do Francji”. Zabrałem pierzynę, garnki, żonę, córkę.

Dowiedzieli nas do Semei i wsadzili do stodoły, słomy znaleźli było na metr i kałaj spać. Na drugi dzień już byłem w pracy na folwarku, który Niemcy urządzili z nieużytków. Włodarz główny był Alzac, pachal mnie do koni, ale nie chciałem. Dopiero Jaworski, jeden Polak, powiedział mi: „Idź do koni — zarobisz więcej” — no to i poszedłem.

13 grudnia 1945 byłem już z powrotem na dworcu w Działoszyńcu. Dnia trzeba stawać, pieniędzy nie ma, rodzina się powiększyła we Francji — druga córka. Pożyliśmy od szwagra na wsi 50 tysięcy i zacząłem handlować wełną. Jeździłem po wsiach — 3 tysiące złotych brałi za kilogram. Wybrałem się pociągiem, na gapę, do Łodzi. Tam na stacji już czekali tacy „handlarze”. Jak pan będzie miał taką czystą wełnę do spodu worka, to płacimy 5 tysięcy za kilo” — powiedział starszy kupiec, i tak zapłacili. Za następnym razem żona pojechała do Łodzi i 120 tysięcy przyniosła. Co tydzień się jeździło i uzbierałem 300 tysięcy. Wykonczyło się mieszkanie, otynkowało dom, papa pokryła... I jak raz koncepcję powiatu na handel odebrał i zabronił handlu wełną. Potem to pracowałem we Wrocławiu jako konwojent w fabryce konfekcji. Ale w roku 1950 zaczął się w Działoszyńcu ruch ze skórkami. Rodzina zaczęła namawiać: „zwolnij się z pracy, na skórkach lepiej zarobisz”. I zwolniłem się. Skórka surowa kosztowała 80 złotych, wyprawiona — 280. Garbcwało się po stropolsku „na ospę”. Aż kolo Brzeźnicy 17 skór mi milicja zabrała, pieniądze wsiąki, na całszy handel nie było. Więc pracowałem na kredowni kolo stacji... A potem przy torach i teraz, w cementowni. Moje dwie córki — Francuzki — wyszły już za mąż. Obie za kapitanów Floty handlowej; mieszkają w Szczecinie...

Reporter: No co, Dębski był też jednym z tych błędnych rycerzy, którzy chodzili po manowach władzy, aby uszczęśliwić trochę grosza dla siebie — ale dziwnie jakoś rozbił się na wiatrakach, które z nagłą wyrastały na ich drodze, gdy byli w pełnym pędzie. Dębski zresztą robił sprytne uniki i nie oardzo porobił bokł. Oweczerek, kierownik transportu w cementowni, bystry facet i młody, niegdyś oficer, który zna wszelkie sprawy ludzi Działoszyńca jak zły szeląg — powie: „Niech pan koniecznie pogada z Kulikiem. Ten sie porobił”. Więc za chwilę w gabinecie dyrektora Brygiera zjawia się nowy bohater. Jeden z działoszyńskich rycerzy.

Kulig Roman (młoter „Mostostelu”, lat 30, spora łysina, młna zafrasowana): Dla mnie ta cementownia przysłała o dwa lata za późno. Zeby nie ta dwa lata — to miałbym dzisiaj inne życie. W okupację tu była

Rzeza, szkoły polskiej nie było. Nauczycielka przychodziła 3 razy w tygodniu, prywatnie. Zaczęłam gimnazjum w Częstochowie, ale na pierwszym roku przerwałam, warunków nie było, materialnych znaczy się. Matka zmarła w szpitalu, leczenie drogo kosztowało — na nic. Ukończyłam szkołę przemysłową w Bytomiu, tam za praktykę dawali pieniądze, lepiej było. Zostałem tokarzem.

Na dwa lata przed cementownią ojciec mnie wziął do spółki — wapiennik prowadzić, wapno wypalać. Kłopot był ze zbytem, trzeba było rowerem aż pod Wieluń i Sieradz szukać klientów, ale przez dwa lata jakoś szło. Brakowało węgla, zbyt coraz gorszy — interes zbankrutował. Ledwie starczyło na płacenie podatków. Aż dopiero trzy lata po fakcie przypomniał sobie IKR o naszym wapienniku. Zabrani mi meble, stół; sortowali za grosze, za 2 tysiące, a ja musiałem potem jeszcze zapłacić trzy raty, ponad 1 tysiąc złotych. Wszystko idzie na domiar za podatek obrotowy. Mnie jednego z trzydziestu najgorzej uderzył. Przecież tych wapienników jest mnóstwo w okolicy. Muszę spłacać 100 tysięcy złotych. Co miesiąc potrącają mi z pensji tysiąc złotych, żonę 250 — bo mniej zarabia w GS. Zostały mi dwa łóżka i dwoje dzieci, no i dług, którego do końca życia nie spłacie, chwil spokojnej mieć nie będę...

Reporter: Oto jeden z tych rycerzy, którzy postawili zamki jednoosobowe na plaśku. Różnie walczyli w tych swoich wiazach. Często padali pod ciosami IKR-u i Wydziału Finansowego. Od czasu gdy wyrosły te zamki chłopci Raciszyna zamienili swoje półka w kopalnie kamienia i na dniówek zarabiali 200 złotych, nieraz więcej. Za metr sześcienny kamienia płacili po 50 złotych. Chłopi dobywali kamień prymitywnie, kilofem i młotem. Ale gdy przysła cementownia — poszli na wielką budowę. Kamień na polu się kończył, harówka przy dobowaniu skały była nieludzka. Wiele małe twierdze inicjatywy prywatnej zachwiała się w posiadach.

Anonim II (o mnie ani słowa — zabiliby mnie „milionerzy”? — powiedział): To były złote dni Działoszyńca, wódka się lala kaskadami, strzelali korki od szampana, zagryzało się tuńczykiem jak szanzka. Odkąd nauczylimy się handlować — nie było problemów. Takówa się jechało do Warszawy, najdroższy hotel, luksusowe panienki w futrach, Koniak „Martił”, „Camus”, a przeważnie czysta eksportowa. Pieniądze się rozleciały po Polsce, w Działoszyńcu niewiele je ulokowało. Nie licząc tych, co fundowali do kościoła dzwony. Kilku załedwie wyniosło z tych złotych czasów trwałe pamiątki. Wyrosło kilka kamienic. Tylko kilka... Bo wszyscy uważali, że jak się ma pieniądze, to trzeba żyć wystawnie, godnie... Nigdy nie mieli pieniędzy, więc jak się dorwali grosza — to przepuścili. Niech pan przejdzie po miasteczku. Król gangu skórzano, stary W, sprzedaje w kiosku spółdzielni inwalidów na nowym osiedlu, Bracia K., którzy handlowali wełną i pobudowali wapienniki, najbogatsi ludzie w mieście — mają najokazalsze domy. Jak doszli do fortuny? Powoli, jak w amerykańskich „story” o milionerach, którzy zaczęli od czyszczenia butów. Jeździł pono do Częstochowy na rowerach i sprzedawali kury. Jeden wyniósł z tych czasów chlubne przezwisko „kurzaja”. Ma gostowny dom z pięterkiem, na polu z kamienia, front z czerwonej cegły oraz czworo działki. Jakoś nie pokończyli działki szkół średnich — bo ambicji nie stalo. Jak się ma pieniądze — to po co nauka. Działoszyńca w czasach złotych doszedł do przekonania, że droga do fortuny przez żadne szkoły nie wiedzie.

egzotyka i barwnością, wcale tak prosto i logicznie nie prowadzi w stronę cementowni. Fakt bowiem, że mieszkańcy Działoszyńca błysnęli inicjatywą w handlu i rzemieślniach pokrewnych, także pod pieczęcią Hermesa się znajdujących, nie świadczy, iż stąd bierze się ta wielka budowa. Ale skąd wyrosły tutaj owe małe zamki inicjatywy prywatnej — wapienniki? Ano, było surowca pod dostatkiem. Robotników także, bardzo tanich. Bo przecież ów działoszyński handel nie składał się z samych szefów gangów skórzano-wapiennych, ale byli i drobni pośrednicy, zarabiający niewiele. A więc surowiec i ręce do pracy — to zdecydowało o budowie cementowni.

Menager przemysłowy (inżynier, mówiący piękną polszczyzną „mocny człowiek” stanowczo formułuje sądy, wygląda na „self made mana”): Zjechałem kawałek Polski, kilka budów organizowałem i tych tutaj nie mogę zrozumieć. W gust im widocznie ta cementownia nie trafia. Bo niech pan weźmie palacy na plecach obrotowych. Stanowisko wymagające naprawę wysokich technicznych kwalifikacji. Automatyczne sterowanie to nie fraszka... Wysłaliśmy tujejszych ludzi na przeszkolenie, byli na kursach teoretycznych. Jest ich 9 z Działoszyńca i okolicy. W tym 7 ze średnim wykształceniem. Tak ma być. Tutaj naprawde potrzebne jest średnie wykształcenie. A ohi pozytywnie gobie za wielki despekt: zdali maturę i zajmują stanowisko palacza... Palacz, a palacz to jest różnica. Pobory nie najgorsze: dwa i pół tysiąca, a z układu zbiorowego mieszkanie, światło i opał za darmo... Najlepszych jest dwóch palaczy z 7-ma klasami. Leszczyk z Trebaczewa i młody Oweczarek ze Szczytów. Oweczarek był na nauce u krawca w Knurowie i miał potem brać gospodarke po ojcu. Ale przysła budowa, chłopiec przyszedł na pomocnika murarza i teraz już ma fach w ręku. Palacz... Tylko kto teraz gospodarke obejmie po ojcu? Na razie nie problem, ojciec jeszcze krzepki. Albo młody inżynier z Działoszyńca. Niedawno po studiach. Potrafił mi w czapce i z rekoma w kieszeniach wejść do gabinetu. Czy to było do pomyslenia w czasach kiedy ja miałem pierwszą posadę? Na pysk by mnie wyrzucili. A czy socjalistyczny dyrektor ma być gorszy od kapitalistycznego?!

Młody inżynier: Dlaczego wróciłem do Działoszyńca? Ba, gdyby nie cementownia. Zawsze lepiej startować przy rodzinie. Ma się bazę. Ojciec jest kowalem, nigdy nie chuchał na nas. Pełdził do nauki. Wier kiedy już byłem na Politechnice — wzięłem stypendium fundowane naszej cementowni. Teraz przyszedłem je odpracować. Powiadają, że nie jestem najgorszy fachowo... A ja przyszedłem trochę i chcę teraz, na 1 maja kupić „Wartburga”. Dlaczego na 1 maja? No, bo właśnie będzie uroczystość przekazania naszej cementowni do ruchu. I na tę uroczystość obiecał nam przyznać talony na kilka „Wartburgów”...

Mam garsonietera na osiedlu, na razie jeszcze się nie urządziłem. No urządzię się, ale nie sam. Kiedy — nie wiem.

Dziwnie się czuję w pracy. Odczuwam wielki szacunek dla ludzi, tych którzy pracują własnymi mięśniami. Wydaje mi się, że tylko oni tworzą jakies konkretne dobra, a ja... Zawsze jak przyjeżdżalem na wakacje — to pomagałem ojcu w kuzni. I nawet teraz czasem za tym zataęknę i ide, poprucuje młotem. Jakis nowy duch w człowieka wstępuje.

Reporter: Mimo narzekan menagera uważam młodego inżyniera, Wojtkę T. za postać nader sympatyczną. Bodaż się nam tacy młodzi inżynierowie na kamieniu rodzili. Ciekaw jestem tylko jakie będą jego dalsze losy. Nadzoruje montaż urządzeń. Montaż się wkrótce skończy. Więc zostanie, czy nie zostanie?!

Technik (jasny blond chłopiec, wymawia akterskie „t”): Chciałbym tu zostać, ale nie wiem jak się ułożyć. Może do Belchatowa pójdę... Gdzie chleb tam ojczyzna, jak powiadają. Dziwi pana to „t”? Urodziłem się na Wołyniu, w Targowicy nad Ikwą. Małym chłopcem wyjechałem na Opolszczyznę, do Makoszy. Ojciec zginął za okupacji w AK. Nie chciałem tego ujawniać w szkole, więc wpisywałem się na wujka. A kiedy wyszło sztydo z worka — musiałem wiać do innej szkoły. Skończyłem wreszcie w Opolu Technikum Cementowe i zacząłem pracować w Cementowni Groszowice, potem w „Odrze”. Pieniądzy nie odłożylem za dużo — matka chorowała. Jeszcze stąd musiałem jeździć na Śląsk, wozić ją po prowincjonalnych szpitalach, wykąkać lekarzom lapówki, żeby trzymali, bo była nieuleczalnie chora. Dopiero teraz zaczynam jako tako egzystować. Teraz już pracuję nie na budowie — tylko w cementowni, na ruchu. Trudna robota, załoga trochę rekrucka jeszcze, dużo psują, wciąż trzeba naprawiać. A jak u nas z częściami zamiennymi, pan wie...

Osiedle piękne, mieszkanie mam niezłe, 2 pokoje. Tak. Tutaj nie można narzekać na łok w mieszkaniach. Ale coś musł ludzi tutaj ciągnąć. Stary Działoszyńca okropnie tego osiedla zazdrościł. W sklepie, na ulicy wzywała nas „przybłędy”. „osiedle przybłędów”. Zwykła zazdrość, nic więcej.

Poznałem tutaj dziewczynę. Na imię jej Hanka. Przysła do cementowni na występ łódkieł Estrady. Chodzimy już ze sobą dwa lata. Chciałem żeby przyjełł ja do pracy w cementowni. Ale dyrektor powiedział: nie przyjmujemy. Ma za dobrze sytuowanych rodziców. Ojciec niezłe sytuowany, to prawda. Wapiennik, pole, kamienica... Nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy się pobrali. Tylko trzeba się jakoś dorobić... Szkoda, że nie możemy razem pracować...

Reporter: Nie wiem, czy należy udzielić błogosławieństwa temu mariażowi, które poprzez jasnego technika i córkę krezusa ma polaczyć cementownię i rycerzy działoszyńskiego kapitalu. Cóż — gdybym nie udzielił, to i tak niezłym nie zmienię faktów. Zycie idzie niepowstrzymanie naprzód.

Pani magister — inżynier (drobna, o dużych czarnych oczach, bardzo ładna dziewczynka): To stalo się bardzo dziwnie. Tak, przyjechałam tutaj zanim jeszcze zaczęto budować

cementownię. Listopad 1957 — moje pierwsze zeżknięcie z Działoszyńcem, gdzie zacząłem pracę jako kierownik produkcji w krewdowni. Biuro było tuż przy stacji kolejowej. Mieszkaliśmy w wiosce Trebaczew. Wieczory przy lampie naftowej były bardzo smutne. Czytałam książki, albo płakałam. W domu nie mówilam, że tu jest tak okropnie — nie chciałam się przyznać. Kilka razy, w niedzielę wieczorem, byłam już spakowana i płakałam na walizkach. Jednak nie wyjechałam — co powiedzieliby w domu? Po roku udało się zmontować pierwszego brydza. Latem, gdy przyjechała jeszcze jedna kobieta-inżynier z AGH i kilku studentów na wakacje. Aż wreszcie przysła wiadomość o cementowni. Wiedziałam, że będzie dla mnie jako inżyniera-geologa mnóstwo pracy. Zostałam. W cementowni zostałam inspektorem nadzoru nad wierceniami hydrogeologicznymi. Dostałam mieszkanie na osiedlu w Działoszyńcu: 3 pokoje z kuchnią. Tak, wyszłam tutaj za mąż, mam synka, nazywa



się Marek i ma dwa latka. Śmieję się teraz kiedy przypominam sobie walizki, lampę naftową i zabawy w clasnej remizie strażackiej. Mamy telewizor, na zabawy chodzimy do „Kosmicznej”. Mąż pracuje u wykończawcy...

Reporter: Nie posiadające mnie o plotki. To oczywiście byłoby bardzo logiczne, gdyby pani magister-inżynier została w Działoszyńcu dla cementowni. Ale niaprawdopodobnie została dla... mężczyzny, który w efekcie został jej mężem. Pochodzi ze wsi Trebaczew, pracuje jako pomocnik u ojca piekarza. Nie byłam nigdy młodą kobietą z odludzia, ale mogę przysapczuć, że nie cementownia, ale uczucie zdecydowało o tym, że pani magister-inżynier pozostała...

Właśnie turkocze „Osa”, pani magister-inżynier jakże urocza pani jeździe do Działoszyńca, do domu. Właśnie wszyscy wychodzą już z dyrekcji, z pięknego, przeschłonego budynku na obszerny plac, defilują przez kolorowe osiedle awaryjne, pięknie wkomponowane w krajobraz na skraju lasu. Wychodzi również menager — nazwijmy go tak umownie — jeden z wielu menagerów przemysłowych, którzy jeżdżą po Polsce i organizują wielkie budowy, uruchamiają wielkie zakłady.

Menager (mówi po raz drugi, ten sam): Proszę, niech pan napisze coś o tym jak tutaj chleję. Jaka jest przeciętna w Polsce spożycia alkoholu na głowę ludności? — Tutaj 9 litrów w przeliczeniu na czysty spirytus. Ma pan epopeję, trochę podgazowaną. Władaliśmy tu nieliczy fundusz plac. Ponad 5 milionów dostali tujejsi ludzie! I gdzie to jest? Zaręczam, połowa tego przysła przez gardła. Proszę, w zeszłym roku gospody GS Działoszyńca wykonały zamiast 3 i pół miliona planowanego obrotu — 3.770.000 zł obrotu. W tym tylko 24% produkcji własnej. Wiece reszta to przeważnie... gorzala. Ja im to ciagle mówię, ale oni wiecznie zapatrzeni w plan. A ja jestem zły. Przede wszystkim dlatego, że nie jestem z nimi gorzaly. I wciąż jestem jednakowy i walczę jednak o pewne sprawy i nie wiem po co. Bo teraz to mam gorszą opinie... Jesteśmy jak ci błędni rycerze, którzy sobie szukają wiatraków... Po co?!

Inżynier starszy (łysawy, od kilku lat pracuje w cementowni): Nareszcie będę miał spokój. Piękna okolica, lasy, rzeka i plaeh. Niech pan pomyśl, jak cudnie tu musi być w lecie... Już znużyło mi się w cementowni pod Zawierciem, to zupełnie odludzie i w dodatku nieciekawo. A teraz Działoszyńcu, to już jest coś, niech pan powie? A ja chcę mieć dużo spokoju. Za wiele lat się tułalem po świecie.

Reporter: ???  
Inżynier starszy: W 1945 roku skończyłem wojnę w Berlinie. Od 1941 roku byłem w Czerwonej Armii. Nauka, studia, różne fabryki. Tutaj mi się jakoś ułoży. Niedawno załedwem rodzina. Działoszyńcu to już teraz nie było co! Chce wreszcie spokoju. Nie żeby nie robić. Tylko takie miejsce na świecie. — Szeżeśliwe.

Reporter: Nie wszyscy szukają wiatraków.



Może dlatego tak niewiele ludzi wykształcił...

IKR uderzył niektórych podatników, a jakże. Ale kogo? Nie tych którzy największy byznes zrobili, bo ci za chytry, żeby ich nawet IKR załatwiał.

Reporter: Te dzieje miasteczka, urzekające

# Na wariackich papierach

Oko za oko, ząb za ząb! Zasada wyrażona przez pierwsze na świecie zbiory praw powraca w ciągu wieków. Bywa nadużywana. Bywa, że za wybitcie zęba wybijało oko, za oko zaś spadała głowa. Bywało też, że odwracano ten porządek rzeczy, co się jednak zdarzało niepomniernie rzadziej. Na ogół rzeczywistość ludzka była jednak przetkana okrucieństwem.

Pierwotność do dziś drzemie w pokładach naszej psychiki. Jeśli nawet kodeksy i ustawy holdują zasadzie indywidualizacji środków karnych, to my, bogobojni poddani królestwa tych artykułów i paragrafów akceptujemy je pod presją niejako, aby ukryć nie- ludzką bezwzględność. Każdy stan faktyczny jest dla nas stanem chemicznie czystym, wolnym od zanieczyszczeń w postaci okoliczności sprawy, pobudek przestęp-



czy też stopnia jego umysłowego rozwoju. Na ogół orientujemy się w sprawie grubo wcześniej niż trafi do sądu i znamy ją grubo lepiej od fachowców, aby tym skuteczniej wypróbować swój instynkt niesprawiedliwości. W winę podejrzanego nikt nie wątpi. Wynika jednoznacznie z faktu za trzymania podejrzanego w miejscu zbrodni. Z faktu po stawienia go przed sądem.

Bo przecież chlubi się znajomością ludzi i znajomością życia, nie takie się w końcu rzeczy widziało. A jeśli nie dać Bóg, sąd ma chętność uwolnić oskarżonego, to wiemy co sądzić o oskarżonym i o takim sądzie. Wystarczy małeńka wzmianka prasowa, aby rozbudzić wyobraźnię do granic okrucieństwa. Wystarczy jeden dostatecznie silny bodziec, aby pierwotność eksplodowała z niepohamowaną siłą jak w błogich latach rączkowania ludzkości.

Są procesy, na które można się dostać tylko robiąc na prawo i lewo lokciami w tłumie zalegającym budynek sądowy. Wprowadzeniu przestępcy na salę rozpraw towarzyszą szpazm tłumku, w którym przemieszane są jednocześnie żądza krwi i podziw dla bezwzględności oskarżonego. Bestia, po prostu bestia, myślimy o nim przymierzając go do naszych wyobrażeń sprzed procesu. Tak, miało się tego nosa. Jeśli wszystko przebiega po linii tych wyobrażeń, albo też nam się zdaje, bo język prawa jest nieco inny niż język samego widowiska.



Opuszczamy sąd z uczuciem samozadowolenia i ten i ów w gronie rodzinnym zdo-będzie się nawet na pochwałę praworządności i czystości rąk sędziowskich. Jeśli jednak materiał procesowy rozbija w puch nasze wyobrażenia o osobie przestępcy, tym gorzej dla faktów. No owszem, nie mamy patentu na nieomyślność, ale w tak oczywistej sprawie nawet dziecko nie może się mylić. Czujemy się zawiedzeni i jakby oszukani. Wyobraźnia, raz rozpalona do

białości, nie daje się tak łatwo ostudzić.

Ale nie sama żądza krwi sprowadza nas do sądu. Żądza krwi jest naturalną konsekwencją igrzysk. Niekiedy nie zdajemy sobie sprawy, że emocje spychają nas na pozycje, którym wyraz dał oskarżony w momencie popełniania czynu. Najczęściej jesteśmy powodowani po prostu ciekawością świata.

Stron życia, których istnienie oczywiście podejrzewamy, ale często wiemy o nich mniej, niż o warunkach życia na Księżycu. Wstydzimy się tego braku doświadczeń i chcemy za jednym zamachem dać wyraz poczuciu słuszności i nadrobić braki w doświadczeniu. A podświadomie przychodzą nam nifestować swoją odrębność. Udowadniać samym sobie, że od oskarżonego oddziela nas coś więcej niż zwykła drewniana barierka. Poszerzać ten odstęp, który nas rzeczywiście dzieli od przestępcy. I za wszelką cenę pomniejszyć nasze słabości. Bo na tle tego, co zrobił oskarżony nasze grzeszki, że już użyję tego terminu, ale w całkiem świeckim znaczeniu, nasze grzeszki więc, wydają się być powodem do dumy i poczucia godności własnej. Jestem inny i nigdy nie stanę się bestią, nigdy nie przekroczę tej barierki, która oddziela człowieka od bestii. Już nie tylko przy mierzaniu naszych wyobrażeń sprzed sprawy do rzeczywistego obrazu przestępcy. Co innego chcemy już skroić. Ciekawość spraw tego świata zostaje zastąpiona ludzką potrzebą nieustannego przypomnienia sobie i światu, jeśli uwierzy, jacy to jesteśmy szlachetni. Na tle przestępcy dowód taki jest przeprowadzić więcej

niż łatwo. Na tle tego, co zrobił oskarżony połowa z nas zasługuje na złoty krzyż zasługi.

Uświadamiając to sobie pozwalamy dojść do głosu instynktowi samozachowawczemu. Zbrodniarzy trzeba karać, trzeba ich karać jak najsurowiej, aby przykład jednego powstrzymał drugie go od popełnienia podobnie odrażającego czynu. Karać tych, co swymi czynami udowodnili, że nie są ludźmi. Eliminować ich z grona ludzi, a tym samym eliminować ze świata. Dajcie mi władzę w Polsce na dwadzieścia cztery godziny, powiada jeden czy drugi z nas, a ja już będę wiedział co z nią zrobić. W ciągu dwudziestu czterech godzin oczyszczę kraj z plugastwa i przyszłe pokolenia nie będą wiedziały co to morderstwo, kradzież czy gwałt. I w ten sposób, dla dobra ojczyzny i nieletnich dziecięci niektórzy z nas gotowi w pierwszym zapędzie popełnić czyn, których nawet najkrwawszy przestępca nie byłby zdolny popełnić. Kara ma stanowić panaceum na wszelkie dolegliwości społeczne, domagamy się więc podświadomie kary, jak najsurowszej kary. Do jej najwyższego wymiaru włączamy. Do najwyższego wymiaru kary, który uruchamia nasze pokłady bezwzględności. Który nlejednego uczy, że można być bezwzględnym. Uczy okrucieństwa. I w osta-

tecznym rachunku, po jakimś tam czasie wychowawczych kandydatów do stryczka.

Sądy wiedzą o tym, bo w końcu trudno sobie wyobrazić sędziego czy prokuratora, który by nie przeczytał Bekariusza. Sądy stosują najwyższy wymiar kary o wiele rzadziej niż ich do tego upoważnia prawo. Kara śmierci jest środkiem szczególnym i nawet rutynowanemu prawnikowi drażni głos, gdy mu przychodzi domagać się takiej kary, albo uzasadniać taki wyrok. Świadomość, że się bierze na siebie czyjąś śmierć ograniczyła stosowanie tej kary do najniezbędniejszego minimum. Ale nawet nieliczne wypadki przy dzisiejszych rozwinętych sposobach komunikowania się ludzi zmieniają każdy wyrok w igrzyska. Mimo że samo wykonanie kary jest niepubliczne, jest zasłonięte przed oczami postronnego widza. Ułaskawia czy nie ułaskawia? E, moja pani, nie

Do więzienia trafili jako potępieni przez prawo i społeczeństwo. Dziś opuszczają zakłady karne. Zegnając się z innymi więźniami, naczelnikiem, wychowawcami nie mówią: „do widzenia”. Wracają na wolność, by zacząć uczciwie żyć, pracować i zrehabilitować się za dawne grzechy. Wiedzą, że początki nowej drogi życia będą trudne.

Wolność i zaświadczenie stamtąd. Ów papierek nie jest najlepszą przepustką do szczęścia. Ów papierek wzbudza nieufność, rezerwę. Czyta go wiele osób. Zaczynają się perturbacje, których tam nie przewidzieli. Skierowanie do pracy niczego jeszcze nie ułatwia. W instytucji mówią: „Przykro nam, ale oczekiwaliśmy kogoś innego” lub „proszę się dowiedzieć za dwa tygodnie”.

Różne są drogi. Piszą listy do „Fali 56”, redakcji dzienników, tygodników, Rady Państwa, KC PZPR. Niektórzy trafiają do sekcji Pospolitenckiej Polskiego Komitetu Opieki Społecznej. Sekcje istnieją przy każdej dzielnicowej Radzie Narodowej. Dwa razy w tygodniu dzurują w nich członkowie Komitetu. Niekiedy, członkowie sekcji pospolicenckiej biorą na siebie osobistą odpowiedzialność za dobre sprawowanie i solidną pracę polecanego człowieka. Na ogół nie muszą się później rumienić. Przykłady? Opo wiadano mi historię pewnego konwojenta PKS, który odbył karę więzienia za kradzież. Początkowo w dyrekcji PKS nie chcieli w ogóle słyszeć o ponownym przyjęciu go do pracy. W końcu zgodzono się, ale w drodze eksperymentu. Dziś były więzien jest wzorowym pracownikiem. Podobny przypadek miał miejsce w Zakładach Przemysłu Jedwabniczego im. Wróblewskiego. Zresztą tam znalazły zatrudnienie trzy takie osoby. Jak do tej pory, są wzorem pracowitości i sumiennosci.

Z przychylnym i ludzkim stonkieniem do osób, które przeszły reedukację za kratami można się spotkać także i w innych fabrykach i instytucjach. Zdarza się, że w pierwszym okresie zatrudnienia osobom tym udzielano zapomóg pieniężnych lub na jakiś czas wydano bezpłatne karty obiadowe. Niestety, zjawiska tego nie można uogólnić do wszystkich przedsiębiorstw. Problem dotyczy oczywiście tych przedsiębiorstw, które dysponują wolnymi etatami.

Sprawa zatrudnienia i udzielania pomocy ludziom, którzy opuścili zakłady karne, to tylko jedna z form działalności sekcji pospolicenckiej, działalności, której zadaniem jest resocjalizacja b. więźnia.

Na przestrzeni ostatniego czasu dużo się na tym odcinku zrobiło. Poza doraźną pomocą w uzyskiwaniu pracy, wspomniana sekcja działając wspólnie z innymi instytucjami i organizacjami społecznymi, m. in. ZMS zajmowała się także tworzeniem Ochotniczych Hufców Pracy, które rekrutowały się z młodych,

uprzednio karanych ludzi. Byli młodoletni przestępcy, członkowie wielu szajek chuligańskich, włamywaczy itp. znaleźli zatrudnienie w przedsiębiorstwach robót drogowych i kanalizacyjnych. W okresie minionego lata jedna z takich brygad układała nową nawierzchnię na ul. Tylnej i Sienkiewicza. Chłopcy pracowali ciężko, ale ambitnie i dobrze. Dotychczasowy kult pięści i „rozróbki” zrodził nowe zjawisko — szacunek dla pracy.

Udany eksperyment z roku ubiegłego należy kontynuować w roku bieżącym. Akcją Ochotniczych Hufców Pracy powinno się jednak objąć większą liczbę mło-

JERZY GLIKSMAN

## POWROTNY

dzieci. Warto się także zastanowić nad tym, by nowe brygady mogły powstać i znaleźć zatrudnienie w innych przedsiębiorstwach, jak np. w Ekspozyturze Towarowej PKS, w instytucjach remontowo-budowlanych.

Sprawa znalezienia i rozpoczęcia pracy, to tylko jeden z wielu problemów, który staje przed człowiekiem opuszczającym mury więzienia. Jeśli nie jest samotny, i posiada rodzinę, to pół biedy. Ma do kogo iść, ma gdzie jeść. A jeśli nie posiada nikogo? Z reguły w takiej sytuacji trafia do sekcji pospolicenckiej. Tu otrzymuje zapomogę, bezpłatne obiady, odzież lub inną pomoc. W 1963 r. Polski Komitet Opieki Społecznej w Łodzi wydatkował na ten cel 129 tys. zł.

Ale pomoc materialna wspomnianej sekcji nie dotyczy jedynie osób, które odbyły karę więzienia. Często ci, którzy w więzieniu przebywają pozostawili na wolności rodziny — bez środków do życia. Dokonując przestępstw, nie zastanawiali się, jaki los spotka ich najbliższych. Jeśli dokonali afery gospodarczej spotkała ich także dodatkowa kara: wysoka grzywna, przepadek mienia, no i doszło powództwo cywilne. To co się ukradło trzeba oddać. Tak więc swoim postępowaniem zrujnowali siebie i rodzinę.

Jeśli żona przestępcy nie pracowała i zajmowała się jedynie wychowaniem dzieci, to z chwilą skazania męża zmuszona jest sama utrzymywać dom. Jeśli jednak nigdzie zawodowo nie pracowała i nie posiada żadnego zawodu? Jeśli mocą wyroku sądowego skonfiskowano w mieszkaniu wszystkie wartościowe rzeczy? Jeśli również na poczet ka-

ry grzywny zabezpieczono kosztowności i pieniądze? Pozostają przecież także dzieci. To jedna sprawa. Druga polega na tym, że nie wszyscy przestępcy to sprawcy afer gospodarczych. To także osoby, które w inny sposób popadły w kolizję z prawem, a ich działalność nie zawsze wiązała się z przysparzaniem rodzinie dodatkowych zysków.

Sekcja pospolicenckarna w działalności swojej udziela także pomocy doraźnej rodzinom osób pozbawionych wolności. W ub. roku 332 rodziny skorzystały z tej pomocy. Przydzielono im paczki żywnościowe, bony na wyżywienie w barach mlecznych, odzież, meble, zapomogi pieniężne. Ponadto poza pomocą materialną sekcja zalała 44 osobom skierowanie do sanatorium, 5 rodzinom przydział mieszkaniowy, w 12 przypadkach skutecznie interweniowała o zameldowanie w Łodzi — oraz co jest nowością w pracy tej społecznej instytucji — zalała 55 korepetycji dla dzieci szkolnych. Jednym słowem szeroki zakres działalności.

Z tego co do tej pory powiedzieliśmy o sekcji pospolicenckarnej wynika, że zajmuje się sprawami b. więźniów i rodzin tych, którzy pozbawieni są wolności. Ale poza działalnością interwencyjną i udzielaniem doraźnej pomocy materialnej, instytucja ta ma jeszcze inne zadania. Sprawa polega przecież nie tylko na zalałowaniu komuś pracy, czy udziale leniu doraźnej pomocy materialnej. Chodzi o to, by wiedzieć, jak b. więzień układa sobie życie, radzi, w jakim przebywa środowisku i czy nie ma niebezpieczeństwa recydywy. W tym zakresie sekcja współpracuje z różnymi instytucjami, kuratorami sądowymi. Formy tej współpracy są bogate, ale nie zawsze dostateczne. Są osoby, które wymykają się spod kontroli społecznej, wkraczając ponownie na drogę przestępstwa. Niekoniecznie muszą nimi być te, które otrzymały pomoc z sekcji.

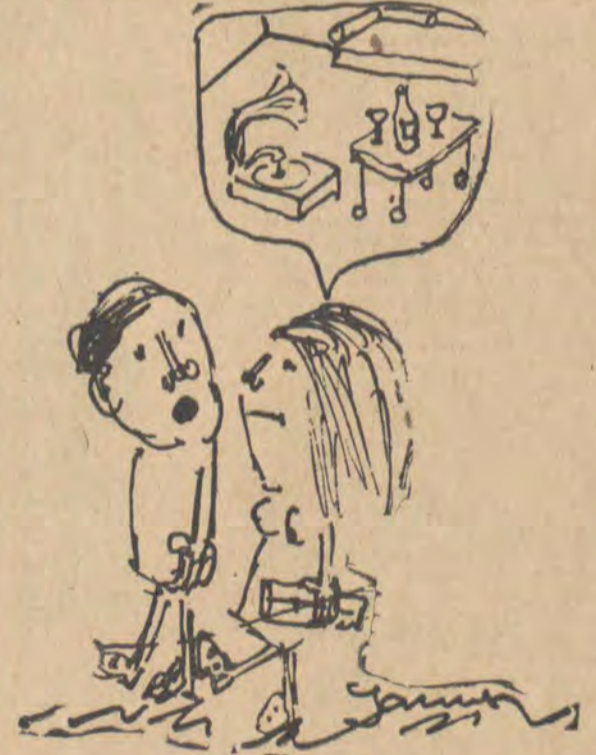
Ale zakres kontroli społecznej i opieki moralnej w szerokim tego słowa znaczeniu wykracza już poza zakres działania aktywno pospolicenckarnej. To również zadania dla rad zakładowych, organizacji partyjnych, kolektywów pracowniczych w miejscu zatrudnienia oraz komitetów blokowych i domowych — w miejscu zamieszkania.

Wpływ środowiska jest rzeczą bardzo ważną. Chodzi o to, by wokół ludzi, którzy wyszli na wolność stworzyć taki klimat, w którym poczują się pełnowartościowymi ludźmi, potrzebnymi społeczeństwu. Ale jeśli już mówimy o klimacie, to trzeba stworzyć taki system kontroli, by ludzie o chwytliwym charakterze lub bardziej podatni na wpływ zła nie mieli okazji do popełnienia nowego przestępstwa. To z punktu widzenia moralnego i społecznego jest również dla nich bardzo ważną pomocą. Pomocą nie mniej ważną od materialnej. Tyle tylko, że trudniejszą.

Mam wspaniałą kolekcję motyli

Rys. J. Wiktorowski

Gkryba,



Mam wspaniałą kolekcję motyli  
Rys. J. Wiktorowski



Kolosalna rolę w rozwoju i rozpowszechnieniu jazzu odegrały płyty. Od dnia wypuszczenia na rynek pierwszej płyty gramofonowej z muzyką jazzową (maj 1917, wydawnictwo Victor) czarne krążki stały się czynnikiem, który zaczął wywierać wielki wpływ na rozwój tej muzyki. Płyty zachęcały wielu nieznających przedtem jazzu muzyków do jego wykonywania, przyczyniły się do rozszerzenia grona słuchaczy i przede wszystkim stały się jedynym i podstawowym sposobem zapisu tej muzyki.

„Gdyby nie płyty jazz mógłby pozostać czymś w rodzaju swoistej muzyki wielkich miast, co tłumaczy się tym, iż jazzu nie można spisać na nutach, gdyż opiera się on głównie na improwizacji”. (John S. Wilson) — Improwizacji, dodajmy nieopowiadalną, twórczość pod wpływem nastroju, natchnienia, kontaktu ze słuchaczem i wielu innych złożonych i często niezależnych od muzyka czynników wpływających na jego instynkt twórczą, a co za tym idzie na samą grę. Nie przypadkiem dlatego najlepsza nagrania jazzowe powstają podczas muzykowania niejako „nieoficjalnego” — nie dokonywanego w studio lecz podczas „jam-session” czy publicznego koncertu. I znowu jedynym możliwym sposobem zapisania, utrwalenia tego koncertu jest płyta gramofonowa.

Pierwsze standardowe 78-obrotowe płyty o średnicy 25 cm. nauce jazzomom nagrywane na nich utworów trwających nie dłużej niż 3 minuty. Do chwili wyprodukowania płyt długogranych zasada ta była przestrzegana dość konsekwentnie, a nieliczne wyjątki utworów trwających dłużej nęgiły wielkie gwiazdy jazzu. Do wyjątków tych należał między innymi „Rapodia kreolska” Duke Ellingtona (3 str. płyty 30 cm — 1931 r.), „Sing, sing, sing” Benny Goodman (3 str. płyty 30 cm — 1937 r.) i t. p.

Popularyzatorska rola, którą płyty spełniały utrwalając jazz i propagując jego nowe formy sprawiła, iż wynalazek ten trwał zapisany w historii jazzu i zajmuje w niej niepoślednie miejsce. Piśmiennictwo jazzowe rozwinęło się już w latach dwudziestych w Europie. Zjawisko wyprzedzenia przez Europę olczyzny jazzu w publikowaniu prac poświęconych tej muzyce wiąże się nierozdzielnie ze słuchaniem dotychczas na stary kontynencie płyt. Płyty te inspirowały dyskusje na temat „egzotycznej” muzyki, dyskusje, których jedną z form stało się piśmiennictwo.

W 1924 r. zaczęło się ukazywać w Brukseli pierwsze czasopismo jazzowe „Music” (La Magazine du Jazz), a dwa lata później w Londynie pojawiły się dwa istniejące do dzisiaj pisma jazzowe „Melody Maker” i „Rhythm”. Pierwszy informacyjny spis płyt, tak zwana dyskografia ukazała się także w Europie w 1935 r. i nosiła tytuł „Hot Discography”. W Stanach Zjednoczonych pierwszym piśmie poświęconym jazzowi był odbity początkowo na powielaczku biuletyn pod nazwą



„Down Beat”, który niedługo po powstaniu (1935) rozwinął się na tyle, aby móc stać się regularnie wychodzącym piśmie muzycznym.  
Także pierwsza książka traktująca o jazzie ukazała się w Europie. Była nią praca francuskiego eseisty i krytyka Huguesa Panassé nosząca tytuł „Le Jazz Hot” i wydana w 1924 r. Dopiero 4 lata później, w roku 1928 ukazała się pierwsza amerykańska książka o jazzie: „Jazz: Hot and Hybrid” napisana przez Winthropa Sarganta.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

ODGŁOSY: Panie Profesorze, archeologia jest szczególnie nauką. Prócz archeologów zajmują się nią z nie mniejszą pasją pisarze, reporterzy oraz amatorzy z poszukiwaczami skarbów łącznie. Przyciąga ich „wierność humanistycznemu nakazowi”, o której pisał kiedyś Jasienica, ale z pewnością także szeroko pojęty element przygody, dawności, zagadki. Jakże były przyzwoitym związkiem Pana Profesora z archeologią?

PROF. JAŻDŻEWSKI: Myślę, że głębsze zainteresowanie się nauką zawsze wynika z przyczyn emocjonalnych, w rzadkich wypadkach tylko z rozumowych przesłanek. Jeśli o mnie chodzi, to względy uczuciowe odegrały rolę zasadniczą. Zaw sze im coś było dawniejsze, tym bardziej mnie przyciągało i interesowało. Już we wczesnym dzieciństwie słuchałem ze szczególnym zaciekawieniem opowiadań mej matki o omentarzku z początku I tysiąclecia przed n. e. w Prasce, w pow. wieluńskim.

ODGŁOSY: Czy te, tak wcześniej rozbudzone zainteresowania towarzyszyły już ciągle Panu Profesorowi, aż do chwili wyboru kierunku studiów?

PROF. JAŻDŻEWSKI: Dzieciństwo i wczesną młodość spędzałem w coraz to innym mieście. W Petersburgu, w latach 1913 i 1914, byłem częstym gościem w Ermitażu, w Berlinie w r. 1917, „Altes-Museum” i „Kaiser-Friedrich-Museum”. W Poznaniu, gdzie w r. 1919 chodziłem do 300 lat liczącego gimnazjum Marii Magdaleny, poznawałem z wielkim upodobaniem stare dzielnice i kościoły tego miasta, oczywiście w ramach wagarów. Nie omijałem także poznańskiego Muzeum Wielkopolskiego, ze szczególną dla mnie atrakcyjną munią egipską. W latach 1920-1922, kiedy przebywałem w Grudziądzu, moją wyobraźnię poruszały rozmaite zabytki, a także „pamiątki” po Krzyżakach. Z głębszej studni obok istniejącej wówczas jeszcze wieży zamkowej, wydobyto mnóstwo rozmaitych zabytkowych przedmiotów, a wśród nich także i szczątki zbroi krzyżackich. Lektura „Starej Baśni” wzmagała jeszcze bardziej moje zainteresowanie odległą przeszłością.

Może właśnie dzięki temu, że wychowywałem się na obczyźnie, tak wielkie wrażenie robiło na mnie bezpośrednie dotykanie źródeł polskości i Słowiańszczyzny. Niewątpliwie wpłynęło to na kierunek moich późniejszych badań. Podczas pobytu w Rawiczu w Wielkopolsce nastąpił moment dla mnie przełomowy. Pewnego dnia, mając świeżo w pamięci inspiracje czerpane ze „Starej Baśni” niejako „przejrzałem”. Znajdując się na wydmie w Dębnie pod Rawiczem dostrzegłem nagle, że stoję na miejscu obiektu osadniczego dawnej kultury. Było to, jak się później okazało, tzw. „stanowisko pułchów lejkowatych” (zresztą stała się ona później tematem mojej pracy doktorskiej).

Od tej pory już coraz poważniej zacząłem się interesować archeologią. Zbierałem podczas coraz dalszych wycieczek różne przedmioty zabytkowe i próbowałem określać ich wiek. Rozczytywałem się też chętnie w pierwszych zeszytach „Przeglądu Archeologicznego”, które wypożyczała mi mecenaska archeologii, p. Kasprówiczyowa, żona fabrykanta wódek w Gnieźnie. Kiedyś wybrałem się do pobliskiego Poznania. Dyrektorem tamtejszego Muzeum Archeologicznego był prof. Józef Kostrzewski, który ofiarował mi swoją „Wielkopolskę w czasach prehistorycznych” i skaptował w ten sposób na zawsze dla prehistorii.

W Gnieźnie przygotowywano się wtedy do obchodów 900-lecia koronacji

Chrobrego, a w związku z tym zaczęto ulice i place miasta przebudowywać i modernizować. Owcześniejszy konserwator zabytków na woj. poznańskie, prof. Zygmunt Zakrzewski, zapośredniczył mnie w zaświadczeniu urzędowe, głoszące, że jestem „mężem zaufania” Urzędu Konserwatorskiego (miałem wówczas dopiero 16 lat!). Dawno to mi podstawił prawną do konkurowania z biskupem Lubitzem na polu badań archeologicznych na terenie Gniezna. Już podczas pobytu

aż do zajęcia Gdańska przez Krzyżaków. W źródłach pisanych znajdujemy niemal wyłącznie imiona słowiańskie kaszelańców, sędziów, rycerzy.

ODGŁOSY: Czy uczeni zachodniemieccy zareagowali na wyniki badań polskich archeologów na terenie Gdańska?

PROF. JAŻDŻEWSKI: Owszem, Niedawno Ehrich Keyser, historyk, do ostatniej wojny działający na terenie Gdańska, a obecnie przebywający w NRF, dorobił do wyników naszych

zującej cechy obcoplemienniczej. W źródłach pisanych nie znajdujemy wzmianki o Lutomińsku aż do drugiej połowy XIII w. Wiadomo też, że znaczenie gospodarcze i polityczne ziem, w których obrębie leży Lutomińsk, było wówczas mniej szej, niż innych ziem (Wielkopolski, Małopolski lub Śląska). Jak więc wytłumażyć tak wyjątkowe zjawisko, jak cmentarzysko lutomińskie? Nie jest wykluczone, że Chrobry osadził w środku państwa (ze względu na bezpieczeństwo) i

cze nierealizowaną, interesuje Pana Profesora najbardziej?

PROF. JAŻDŻEWSKI: Zamierzam zabrać się niebawem do napisania dzieła pt. „Polska środkowa w pradziejach”, które byłoby podsumowaniem dotychczasowych osiągnięć pracy badawczej łódzkiego ośrodka naukowego na polu archeologii tej części naszego kraju.

Chciałbym także przeprowadzić prace wykopaliskowe nad górą Warta. Tereny te interesują mnie w związku z niewyjaśnionym jeszcze dostatecznie zagadnieniem tworzenia się pierwszych państw plemiennych na terenie środkowej Polski. Dla osiągnięcia tego celu konieczne jest nawiązanie współpracy z poznańskim ośrodkiem archeologicznym. Nie wiem jednak, czy badania te dojdą do skutku.

ODGŁOSY: Wiadomość, że w domu Pana Profesora wychowuje się Japończyk, syn japońskiego historykamediewisty, jak do tego doszło? Fakt to co najmniej niecodzienny.

PROF. JAŻDŻEWSKI: Sprawa ta miała się tak: wspomniany przez Panią japoński historyk zmarły w końcu 1961 r., prof. Rvouchu Stanisław Umeda, był początkowo duchownym w klasztorze buddyjskim w Japonii; w latach 1923—1929 przebywał w Polsce i zapalał gorącym sentymentem do naszego kraju. Po powrocie do Japonii zainteresowania swe coraz silniej kierował ku studiom z zakresu historii starożytnej, średniowiecznej i częściowo archeologii. Z kolei został tam profesorem i zaczął wykładać historię Europy wschodniej. Nawiązałem z nim kontakt przez prof. Kostrzewskiego. Niestety, prof. Umeda zmogła nieuleczalna choroba. Miałam ciągle wracając do Polski pragnął gorąco, by jego uczeń i syn jako kontynuator jego dzieła poświęcił się badaniu kultury polskiej, tak różnej od japońskiej. W związku z tym przed śmiercią zwrócił się do mnie z prośbą o zapewnienie się jednym z jego synów. Syn ten ma w tej chwili 14 lat i chodzi do jednego z liceów łódzkich. Z inspiracji prof. Umedy przybył do mnie także na studia jego dawny uczeń student Uniwersytetu w Ni-

## PRZESZŁOŚĆ CZYTANA Z ZIEMI

Rozmowa z prof. dr Konradem Jażdżewskim

tu w tamtejszym gimnazjum zacząłem wyjeżdżać na wykopaliska z prof. J. Kostrzewskim.

Znałem się w sferze wieloletniego oddziaływania prof. Kostrzewskiego. Jego katedra była najlepszą polską katedrą archeologii. Jej ówczesny kierownik jest do dziś jednym z najwybitniejszych polskich uczonych i niezwykleym człowiekiem. I w tym stwierdzeniu naprawdę nie ma żadnej przesady.

ODGŁOSY: Jakim badaniem naukowym kierowanym przez Pana Profesora przypisuje Pan Profesor największe znaczenie? Które z nich stanowiły największą satysfakcję dla badacza, poszukującego możliwości odtworzenia historii z konkretem?

PROF. JAŻDŻEWSKI: Niewątpliwie należały do nich badania w Brześciu Kujawskim i w Gdańsku. W Brześciu nad jeziorem Smętowym natrafiłem na osadę z młodszej epoki kamienia. Osada składała się z kilkunastu wielkich domów o rzucie poziomym trapezowatym. Kształt i wielkość tych budowli, mających swoje odpowiedniki na przetrzezi od dolnego Renu aż do środkowego Dniepru, uoaczniały w ciekawy sposób niektóre aspekty ustroju rodowego w młodszej epoce kamienia. Odkrycie to było swego czasu w latach 1934—1938, w Polsce, rewelacją, gdyż dotychczas nikt u nas nie stwierdził istnienia tego rodzaju osad. W tym samym Brześciu w obrębie jednej tylko osady natrafiłem na ślady aż 17 różnych kultur z rozmaitych epok. Znalaziono tam m. in. ciekawie ułożone i wyposażone groby zwierzęce sprzed czterech tysięcy lat, w których chowano „świeta” (w każdym razie czczone) krowy lub bydła. Takie nagromadzenie różnych kultur w jednym miejscu jest rzadkością i zależy w dużym stopniu od korzystnych warunków fizjologicznych.

W czym wyraża się najpełniej słowiański, prapolski charakter Gdańska wczesnośredniowiecznego? Przede wszystkim w typowej treści kulturowej takiej samej, jaką znamy ze źródłowych złotych grodów polskich, takich, jak np. Poznań, Gniezno i Kruszwica. Wiele danych wskazuje na to, że Gdańsk powstał prawdopodobnie z inicjatywy Mieszka I po dokonaniu przezeń podboju Pomorza Wschodniego. Materiał wykopaliskowy z terenu Gdańska wczesnośredniowiecznego jest w 99% słowiański. Ilość zabytków, które można by wiązać z pobytem Niemców w jego obrębie w tym czasie jest bardzo mała i wiąże się zapewne z importem; przy najmniej tak było do pierwszej połowy XIII w. Żywioł polski był dominujący

badani przedziwny komentarz. Na ich podstawie doszedł bowiem do wniosku, że tezy, które on głosił do r. 1939 w oparciu o bardzo niłą i opacznie interpretowaną bazę źródłową, zyskały całkowite potwierdzenie właśnie w materiale zabytkowym, wydobytym w ostatnim 15-leciu przez polskich archeologów. Widać tu wyraźnie, że nawet oczywiste fakty nie potrafia zmienić z góry powziętych mniemań. Należy jednak dodać, że cały szereg innych historyków-mediewistów nie miecieli, jak np. profesorowie: Edith Ennen, Ludat i Planitz, przyjmuje w znacznej mierze nasz punkt widzenia przy interpretacji wyników tych badań.

ODGŁOSY: Ostatnio niemal prac Pana Profesora związanych jest z ziemiami sieradzka i łęczycka. Jaki wkład wykopalski w województwie łódzkim uważa Pan Profesor za najbardziej interesujące?

PROF. JAŻDŻEWSKI: Zaliczam do nich badania w Łęczycy, Lutomińsku i Sieradzu oraz w Lubnej, w pow. sieradzkim. Niejednokrotnie zaczynały się one pod moim kierunkiem, potem ich kierownictwo powierzałem swoim uczniom,



Prof. Jażdżewski (z prawej) w rozmowie z prof. Böhmem z Pragi

Nie zawsze interpretacja wyników tych badań była sprawą prostą. I tak np. cmentarzysko w Lutomińsku, położone nad Nerem o ok. 17 km od Łodzi, z czasów Bolesława Chrobrego i Mieszka II jest chyba najbogatszym w Polsce cmentarzyskiem z tego czasu. Pochowani w nim byli (głównie w jego części środkowej) zamożni członkowie jakiejś drużyny wojskowej, w poważnej mierze wyka-

ponieważ w stuleciach dawniejszych używano słowa „ksiaź” przede wszystkim w odniesieniu do panujących. Dopiero w czasach nowożytnych nazwa „ksiaź” zaczęła oznaczać wyłącznie osoby duchowne. Tak więc wolno nam przypuszczać, że podane to przetrwało w tradycji ustnej aż przez 15 wieków.

ODGŁOSY: Jakie są zamierzenia naukowe Pana Profesora? Jaka praca, jesz-

shinomiya, Jiro Hasegawa

ODGŁOSY: Do uczucia obowiązku wiec ciągle wracając, już bardziej pośrednio z archeologią związane...

PROF. JAŻDŻEWSKI: Jest to istotnie nie zmniejsza ona. Nasze tak pozorne i cenne Muzeum bynajmniej nie jest oaza spokoju.

Rozmawiała: MARIA DĘBECKA

MARIA KORNAŁOWSKA

## Froche ryzyka nałowie

Sytuacja w naszej, narodowej kinematografii jest już właściwie tradycyjnym przedmiotem dyskusji, rozważań i wywołów. Trudno już dodać do tego coś nowego i oryginalnego. Niemniej warto chyba przypomnieć i powtórzyć raz jeszcze pewne sprawy. Sytuacja jest bowiem rzeczywiście poważna. Tym bardziej, że w wielu krajach film staje się sztuką najbardziej awangardową i to nie w formalnym tylko ale ideowym i moralnym sensie. Sztuką najbardziej nowoczesną i współczesną. Narzędziem poszukiwania nowych prawd o rzeczywistości. Środkiem wypowiadania nowych myśli, pojęć i idei. Można śmiało powiedzieć, że niemal każdy kto ma coś do powiedzenia chwyta za kamerę i robi filmy. Wychodzą z tego rzeczy nie lub dobre, ale zawsze ciekawe i w jakimś stopniu autentyczne.

U nas w Polsce, parafrazując pewne powiedzenie J. Adama Andrzeja, przedwojennego filmu, jest zupełnie inaczej. U nas kończy się szkołę i z tytułem magistra sztuki reżyserskiej lub operatorskiej przystępuje do pracy niekiedy mając cokolwiek do powiedzenia. Praca ta, jak to zresztą wynika z wypowiedzi wielu twórców i krytyków nie wolna jest od nacisku maszyny biurokratycznej (między innymi system przyjmowania i zatwierdzania scenariuszy). Świeżo wypuszczony z murów uczelni grzeszy i niedoświadczony student dostaje się w tryby systemu, który co tu dużo mówić sprzyja, niestety, konformizmowi i oportunizmowi. O tym też już wielokrotnie wspomniano.

Przy okazji długiego i „wnikliwego” rozważania wartości scenariuszy odziera się je z wszelkiej indywidualności i osobistego charakteru. Ten właśnie brak indywidualności stanowi jedną z podstawowych cech polskiej kinematografii. Zdaje się, że na tym polu osiągnięci wkrótce rezultaty dorównujące Hollywoodowi słynącemu ze swej rzemieślniczej i bezosobowej rutyny. Indywidualność artysty, zwłaszcza młodego i niedojrzałego, wyraża się najczęściej nie w tym jak, ale w tym co może on powiedzieć. Co jakis czas młode pokolenie artystów zrywa z dotychczasowym sposobem widzenia świata i odkrywają jego nowe oblicze i nowy smak. Tak powstają różnego rodzaju nowe fale, zmiany itd. Bez tego nie może istnieć sztuka, żadna sztuka. Burzenie starych form, szukanie i tworzenie nowych jest podstawą jej egzystencji i ciągłości. Sztuka musi budzić niepokoje i być sama niepokojona. Nie może być grzeszna, ułganą i spozządzana według przyjętej i powszechnie zaakceptowanej receptury. Inaczej traciła swą funkcję i znaczenie. Dowodem – najwybitniejsze osiągnięcia dzisiejszej sztuki filmowej od Bunuela począwszy, a na Antonionim skończywszy. Ani Bunuel, ani Antonioni, ani Richardson nie podejmują spraw łatwych i nie prawniczo publicystycznych duserów. Wprost przeciwnie. Biorą na siebie ryzyko mówienia rzeczy bolesnych, drażliwych, przemilczanych, często nawet takich, których nie chcemy sobie wcale uświadamiać. W „Viridianie”, w „Aniele zagłady” Bunuel nie waha się oskarżać brutalnie, okrutnie oskarża jednostki i społeczeństwa systemów i praw, które ludzie sami ustanowili i którym podlegają bynajmniej nie ku swej chwale. To samo, choć w inny sposób i w nieco innym kontekście moralnym czyni Antonioni. Bunt przeciw porządkowi pozabawionemu wszelkich autentycznych wartości zarówno dobrych jak i złych, przeciw konformizmowi uosabiającemu całą brzydotę i martwość świata wyraża przecież twórczość Richardona od „Miłości i gniewu” do „Samotności długodystansowca”.

Niekiedy jak Bergman, Fellini, Antonioni zmuszają do refleksji, zastanowienia się, a zatem w konsekwencji do szukania i wyboru. Inni, jak Bunuel, młodzi Anglicy, prowokują wyrażając swój bunt i gniew. Wszyscy wszakże podobnie jak Colin Smith, bohater w „Samotności długodystansowca” walczą o własną twarz i twarz nas widzów. To co łączy całą współczesną sztukę filmową to właśnie owa walka, tak ważna we współczesnym świecie, o zachowanie niezależnej i pełnej osobowości człowieka. Świat dzisiejszy, królestwo wyrafinowanej organizacji technicznej i potężnych procesów historycznych jest przeciw jednostce. Sztuka staje w obronie jednostki, przywracając jej sens i moralną godność, często wbrew jej samej. Nadzedł bowiem czas wyborów najtrudniejszych i nie każdy z widzów zgodził się z decyzją Colina Smitha. Ale sztuka nie może być tylko zwierciadłem. Musi być sumieniem. Problem konformizmu należy chyba do najistotniejszych problemów XX wieku, niezależnie od kształtu jaki przybiera. Osmieśle się stwierdzić, że film polski jest konformistyczny. Między innymi i dlatego, że uchyła się od owej roli sumienia, że w wyborze swej tematyki jak i sposobie jej przedstawiania jest zbyt grzeszny i konwencjonalny, nie prowokuje i nie zmusza do refleksji. Rzeczywistość polska jest bogata i bujna, fermentująca konfliktami i sprzecznosciami, burzliwa i chropowata. Ale w filmach polskich trudno dopatrzeć się „jaskółczego nieokoła”, klimatu poszukiwania i drażnienia rzeczywistości. Wszystko jest jasne, proste, nie budzące wątpliwości i zastrzeżeń. I dlatego ośmielię się twierdzić, że nawet przy tzw. współczesnej tematyce nasz film jest z istoty swej niewspółczesny. Operuje bowiem starym sposobem widzenia rzeczywistości, nieadekwatnym i nieadekwatnym.

I dopóki film polski nie podejmie ryzyka wielkiej przygody, na jaką odważyli się filmowcy innych krajów, dopóki nie odnajdzie własnej postawy moralnej i własnego sposobu widzenia narodowej rzeczywistości i problemów jakie ona w sobie kryje, dopóki nie możemy mówić o prawdziwie współczesnym filmie. Zadowalanie się zewnętrznym opisem i powierzchownymi rozwiązaniami do niczego nie prowadzi. Do narodowych tradycji należy však sztuka „targająca sumieniem”, „szarpająca rany, by się nie zablizniły bloną podłości”. Dlatego mamy się lekać takiej właśnie sztuki? Tym bardziej że dziś jak rzadko kiedy w historii rysuje się ostro konflikt między absolutną obojętnością i postawą konsumpcyjną a poczuciem odpowiedzialności moralnej i zaangażowania ideowego. I w tym konflikcie miejsce sztuki współczesnej jest właśnie po stronie tego, co nonkonformistyczne, niespokojne, buntownicze, a zatem po stronie tego co naprawdę ludzkie.

### LECH UTRACKI

Kto to jest Hemingway, Steinbeck, Faulkner, Caldwell, Irwin Shaw, Artur i Henryk Millerowie, Poe, O'Henry, Tennessee Williams, London, Cooper? Lista długa a pozostało jeszcze wiele znanych nazwisk wielkich pisarzy i poetów wydanych przez USA. Ten ogromny kraj, pełen śpied i sprzeczności, bogaty i różnorodny zarówno w dobrą naturę jak i charakter ludzkie, stał się kolebką najlepszych, najoryginalniejszych pisarzy ostatnich dziesięcioleci. Do ich obrędu należały pielgrzymki do Europy; wiele lat spędził w Paryżu; Hemingway, Steinbeck, H. Miller i inni. Wielki musiał być ich ładunek emocjonalny, bogate indywidualności, skoro pisarstwo ich pozostało świeże i odrębne od francuskiego.

Mimo doskonałego poziomu pisarstwa amerykańskiego, czytelnictwo jest tam bardzo słabe. Czym to można wytłumaczyć. Przede wszystkim brakiem tradycji czytelniczej. Złożyły się na to zarówno słaby poziom intelektualny większości imigrantów, jak i trudny okres osadnictwa, wymagający pełnego zaangażowania fizycznego i intelektualnego w walce o byt.

Amerykanie naszych czasów nie przypominają już aktywnego społeczeństwa z książek Londona czy nawet Steinbecka. Praca i bierny odpoczynek przy telewizorze, weekendy mijające na zakupach lub na porządkowaniu ogródka, oglądaniu meczu baseballowego czy na wyjazdach z rodziną za miasto, czynią życie wygodne, spokojne, uformowane. „Średni” spokojny Amerykanin nie jest ani bohateraście pionierem z okresu podboju Nowego Kontynentu ani „agresywnym” „businessmanem” z czasów rewolucji przemysłowej. Jest to doskonały pracownik, więcej niż lojalny obywatel i czuły ojciec, do czasu, gdy zdecydował, że dzieci winny mieć więcej samodzielności. Jest on zapracowany w stopniu znacznie większym niż jego kolega w Polsce. W tym społeczeństwie, gdzie „agresywny” jest wciąż jednym z największych komplementów, „średni” jest coraz bardziej bierny intelektualnie. Zmniejszenie fizyczne skłania go do szukania łatwych rozrywków, łatwych form odpoczynku. Zresztą trzeba przyznać, iż pokusa szukania łatwiejszej formy odpoczynku jest w USA znacznie silniejsza niż u nas. Wielkie osiągnięcia kinematografii amerykańskiej – musical „West Side Story” zasłaskoczyło mnie melodyjnością, oryginalnością, bogactwem formy – doskonałością jako widowisko rozrywkowe. Zdumiałem, gdyż w tym czasie nie znalazłem jego poprzedników – wielu dobrych musicali i operetek jak Oklahoma, My

Fair Lady, South Pacific, Musical Man i in. Utwory te zdecydowanie należą do „lekkiej muzyki”, lecz jest to muzyka młoda, ładna i wesola. Dla przeciętnego odbiorcy intelektualnie jest znacznie łatwiejsza i bardziej atrakcyjna niż książka.

Jeśli jednak „średni” Amerykanin sięgnie czasem po książkę, to przede wszystkim po taką, która dostarczy mu konkretnych korzyści – informacji. Nie, nie chodzi tu o literaturę fachową. Mam na myśli zaspokajanie hobbistycznych upodobań, dokształcanie się, uzupełnianie poglądów na otaczający świat. Książeczki w bardzo kolorowych, błyszczących okładkach, jakie spotyka się w drogeriach, sklepach spożywczych, kioskach z gazetami czy nielicznych księgarniach, to nie tylko „opakowane” w cenie od 25 centów do 1,5 dolara ukazują

## Pisarz AMERYKANSKI u siebie

ją się serie popularno - naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy, pisane często przez wybitnych profesorów. Również serie klasyków literatury i filozofii (np. Homer w okładce jak „kryminal”) cieszą się dużą popularnością.

W Los Angeles, wkrótce po tragicznej śmierci Hemingway, wielokrotnie spotykałem osoby, które nie znały nawet jego nazwiska. Był wśród nich zarówno student jak i ludzie spoza terenu uniwersytetu. Ze zdziwieniem przekonałem się jednak, iż owa nieświadomość nie jest równo znaczna z brakiem zainteresowań czytelniczych. Prawie wszyscy indagowani czytali właśnie coś z owych wydawnictw o charakterze informacyjno - naukowym. Zdumiewało mnie zarówno wśród młodych jak i starszych owo szukanie konkretnej wiedzy, gromadzenie wartościowych faktów, zwłaszcza z zakresu nauk o społeczeństwie, psychologii, filozofii a również współczesnej fizyki, chemii i astronomii. Gwoli rzetelności muszę dodać, iż wydawnictwa te mają wielu przeciwników, zwłaszcza wśród pedagogów uniwersyteckich. Chodzi o dwie sprawy: o poziom publi-

kacji (nie wszystkie są pisane przez dobrych specjalistów i popularystów) oraz o używanie ich przez leniwych studentów jako „bryków” do wykładów uniwersyteckich!

W parze z popytem na te wydawnictwa idzie popularność różnych encyklopedii i słowników. Wiedza przetrwała, posegregowana i oceniona leży na półkach gotowa do konsumpcji.

Wydaje mi się, że na ogół książka w Stanach jest traktowana inaczej niż u nas. Nastąpiło tam, być może pod wpływem telewizji, rozdzielenie pojęcia rozrywki od pojęcia nauki. Książka ma spełniać tę drugą rolę. Amerykanin rzadko szuka odpoczynku przy książce, nie dyskutuje losów bohaterów. Tematów do dyskusji dostarcza telewizja, samochód, sport, jedzenie i pieniądze.

Jeśli pisałem, iż spotkałem się z ludźmi nie znającymi nazwiska Hemingway (podobnie było z „wielkimi” u nas pisarzami amerykańskimi;

każ pozytywną ocenę kolegium wydawnictwa oraz proznych o recenzjach pisarzy. Ocena jest u nas znacznie bardziej surowa i wyczerpująca, gdy chodzi o tłumaczenia. W efekcie otrzymane przez nas książki obcych autorów są utworami naprawdę wartościowymi.

Stąd selekcja jest tam znacznie mniejsza, informacja gorsza i w efekcie – w racjonalnym umyśle przeciętnego Amerykanina w przegródce zatytułowanej „autorzy amerykańscy” – znajduje się istny „groch z kapustą” nazwisk wielkich i jednogłoszonych. Nie wiem, może zresztą u nas zbyt wielką wagę przywiązujemy do nazwisk? Dziwnie mi się jednak tam wydawało stawianie Steinbecka czy Faulknera na równi z Katarzyną Porter, Michenerem, Buchnerem czy Westem.

W tygodnikach i magazynach ilustrowanych ukazują się listy książek najlepiej sprzedawanych w ciągu poprzedniego tygodnia – lista bestsellerów i jeśli gdzieś mówi się o książkach, to właśnie o tych najnowszych, najszerzej rozchodzących się a nie zawsze – najlepszych. Zresztą podobnie jak u nas – Czy trzeba przypominać polski „boom” na Hlasie.

I tu chyba dochodzimy do konkluzji. By wyrobić sobie zdanie o pisarzu trzeba przeczytać szereg pozycji z jego twórczości, trzeba mieć możliwość konfrontacji z pisarstwem innych, trzeba mieć możliwość wymiany poglądów a więc trzeba mieć to, co nazywa się wzniośle kulturą czytelniczą. Na przeszkodzie rozwoju tejże kultury stoi w USA przede wszystkim osamotnienie jednostki, nikła więź towarzyska w społeczeństwie oraz uroblona od lat niechęć do ludzi pióra i ołówka. Antyintelektualizm jest faktem w Stanach. Na skutek niego pisarz ma rolę proka, wieciska narodowego, sumienia swych czasów, jak to bywało w Europie, pełni funkcję „businessmana”. Jego biznesem jest pisanie książek, jak rzecz innych ludzi – wydobycie ropy naftowej, czy produkcja plastikowych kwiatów. Interes pisarza przynosi jednak nieporównywalnie mniejsze dochody, a ponieważ miarą powodzenia społecznego jest właśnie dochód, to pisarz... tak kółeczko się zamknęło.

Jak w każdym społeczeństwie, tak i w amerykańskim istnieją grupy intelektualne prężne: środowiska uniwersyteckie, cyganeria artystyczna. Ale niechęć społeczeństwa do jałgłowych – in telekulistatów, powoduje że sfera ich działania jest w Stanach zdecydowanie bardziej ograniczona niż w Europie. Jednakże sprawy związane z tymi środowiskami wykrajają poza ramy tego artykułu.

Faulknerem, Steinbeckiem...) to okazywało się wkrótce, iż bynajmniej nie znaczy to, że ludzie ci w ogóle nie czytają wartościowych książek. „Och, proszę pana, czy pan wie ilu mamy pisarzy? Tysiące, dziesiątki tysięcy. Jak można znać wszystkich? Jeden człowiek nie ogarnie tego”, – słyszałem w odpowiedzi. Czy wiście naiwnością byłoby sądzić, że w USA istnieje aktualnie tysiąc pisarzy równych Hemingwayowi i talentem. Przytoczona odpowiedź wskazuje raczej na następny obiektywny przyczynę słabego czytelnictwa w Stanach – brak dobrej informacji wydawniczej. Tygodniki za mieszczącymi recenzje o aktualnych wydzierżaniach literackich spełniają rolę reklamy najnowszych pozycji wydawniczych.

Z zagadnieniem informacji wydawniczej wiąże się sprawa selekcji materiału dostarczonego czytelnikowi. W Stanach – głównym pytaniem wydawcy jest: czy książka będzie miała nabywców?

W Polsce jest nieco inaczej; kwestia dochodowości jest brana pod uwagę chyba raczej marginesowo: poza tym maszynopis autora musi uzys-

### DANE DOŚWIADCZENIA

Oto piłka uderza o tablicę. Ześlizguje się po niej, nieforemna, niezgrabna. Wsuwa się w obręcz i spada na posiadkę. Oto dyskobol staje w kole. Przez chwilę jest nieruchomy. Przekłada dysk z ręki do ręki tak jakby nie wiedział, co z nim zrobić. A potem nagle „wchodzi” w obrót. Oto biegna razem. Wciąż jeszcze razem. Obok siebie, dotykają się niemal łokciami. Ale teraz, właśnie teraz ten wyższy wysuwa się do przodu. O pół metra, może o metr. Już o dwa metry. Nie odwraca głowy. Ma wykrzywną twarz. Widzi przed sobą taśmę. Niczego już nie widzi. Tylko taśmę. Biała, biała... Jeszcze krok, dwa. Zaraz ją przerwie. Wyruza pierś do przodu. Jest pierwszy.

Opisujemy to. Opowiadamy o tym. Wykrzykujemy nasze opinie. I wykrywając je, przekraczamy granice doświadczenia. Mówimy przecież – dysk, mówimy – taśma, mówimy – piłka. A tymczasem... Tymczasem w doświadczeniu, w naszym doświadczeniu nie ma piłki. Ani dysku, ani taśmy rozpiętej na mecie. Są tylko doznania. Nieustające, trwały hałas doznań. Skrawki kolorów, strzępy dźwięków, resztki smaku. Dane, dane naszych zmysłów. To przecież z nimi stykamy się bezpośrednio. Jakby twarz w twarz. Nie z przedmiotem, nie z rzeczą. Rzecz leży poza strefą doświadczenia. Poza naszym prywatnym światem. Tylko on jest niewątpliwy. On jest pewny. Wszystko inne staje pod znakiem pytania. Dane, dane zmysłowe... Jakości sensualne... Dopóki rozprawiamy o nich, rozprawiamy o tym, co nam użyteczne. Co użyteczne każdemu z nas. Gdy zaczynamy traktować o rzeczach – o piłce, o koszykarskiej tablicy, o liniach wyznaczających tor sprintera, wydostajemy się poza obręb doświadczenia. Wymykamy się z naszego prywatnego świata. Opuszczamy go. Czy jednak opuszczamy go naprawdę? Mówiąc o piłce albo o dysku, miast mówić o doznaniach? A może mówimy przez cały czas o tym samym? Tylko mówimy inaczej. Siegając do skrótów. Podpierając się skrótami. Zmienia się więc nie przedmiot dyskursu. Zmienia się jego tryb, sposób mówienia. Korzystamy z podstawowych udogodnień języka, który pozwala rozwlekać formułę zastąpić jednym słowem. Piłka jest tu konstruktorem sensualnych jakości. I jest nim stół. Ten stół, przy którym piszę. To okno, którym wyglądam. Dysk, ten dysk, który ktoś, stojąc w kole, przekłada z ręki do ręki.

Rzeczy? Rzeczy są tu zmyślone. To fikcja języka.

Owszem, poręczna. A jakże, wygodna. Upraszcza porozumiewanie się. Ułatwia je. Ale rzeczy? Rzeczy nie ma. Wiodą żalozną egzystencję. To egzystencja obiektów pozornych, egzystencja językowego skrótu. Są tylko dane, dane doświadczenia. Jedyny składnik świata.

Jedyny? Mówiąc o rzeczach, nie staramy się ich sprowadzić do jakości postrzeżeń. Przeciwnie, zakładamy ich istnienie. Istnienie piłki, dysku, koszykarskiej tablicy. Możemy nie zakładać. Potrafimy to zrobić. W każdej chwili. Potrafimy odrzucić to, co nie jest prywatnym światem. I manipulować nim tylko. Dawać sobie radę za jego – wyłącznie – pomocą. Doprawdy? Nie, nie. Zdamy sobie z tego sprawę. Nie zdamy przełożyć wszelkich twierdzeń o rzeczach – o przedmiotach fizycznych, jedynie fizycznych – na twierdzenia o zmysłowych jakościach. Albo o „zespołach” sensorycznych wydrzeń. Powstaje tu szczytina. Nie umiemy jej zapelnąć. Musimy ją przekoczyć. I przekakujemy. Nie więdzając o tym. Nie uświadamiając sobie tego. Przekakujemy już wówczas, gdy zaczynamy mówić. Bo jakże opowiadać o danych doświadczenia? Jakże je opisywać? Nie mówiąc o rzeczach? Nie wspominając o nich nawet ukradkiem? Zawodzą nasz język. Nasz codzienny, powszedni język. Bo zakłada on schemat. Jest to schemat fizycznego przedmiotu.

Przyjmujemy go. Akceptujemy każdego dnia. Po to, by uprościć sytuację. Te, o której będziemy opowiadać. By ułatwić sobie zdanie. To, które staje przed nami. By uchwycić kontur świata. Schemat fizycznego przedmiotu... Jest mitem – powiadają niektórzy. Jak mitem są bogowie Homera. Albo bogowie Azteków. Ale jest to mit nieodzowny. Gwarantuje naszą wiedzę. Czyna ją możliwą. Jeśli odrzucimy go, staniemy całkiem przy beznadzi. Bez rzeczy bowiem, twardych kanciastych rzeczy... Czymże jest nasza wiedza? Cóż z niej się zostanie?

Postulujemy więc piłkę. I postulujemy białą taśmę u mety sprinterskiego biegu. Tak jak postulujemy koszykarską tablicę. Albo dysk. Dane zmysłowe nam nie wystarcza. Bez względu na to, czy będą powtarzającymi się jakościach czy zespołem sensorycznych wydrzeń konkretnych wydrzeń ograniczyć się do nich, na nich poprzestać, a stanąć przed nami mały, skureczony świat. Rozpałce węski, zadziwiająco nędzny. Świat bezładnego doświadczenia.

Punch



Pola Raksa — Julia i Jerzy Kamas — Romeo

Fot. F. Myszkowski

Dawni historycy literatury, krytycy i uczeni w szekspiologii nazywali tę rzecz arcydziełem i wielką tragedią. Ale już Boy dworował sobie trochę z „Romea i Julii”, nazywając to romantyczną komedią renesansową; obwącował przy tym mocno tekst z jego podejrzanej jakości „metaforami od siedmiu boleści” (przejęta przez Szekspira kwiecistość dworskiego języka włoskich pałaców), z tłustymi scenami bufu, szukając mimo wszystko rozwiązania zagadki, jaką jest przy zmienności czasów, obyczajów i sposobów uczucia i myślenia — niestanne powodzenie tej sztuki.

Dziś ten i ów konserwator nazywa tę rzecz jawnie „wampulą”, pytając zarazem jak to grać, żeby to było strawne. Ta i owa nowoczesna siedemnastolatka, demaskując z obrazoburczą naiwnością „zacołany gust starszego pokolenia”, wydyma usta lekocząco: „Nie rozumieć czym wycie się zachwycałi w waszej młodości? Dla nas łóżko też odgrywa pewną rolę, ale żeby się zaraz zabijać, jak Julia?” A jednak i dziś, gdy z naszego słownika zginęło dawno starowieckie pojęcie „czarująca kobieta”, wypatle przez pojęcie sex-bomby, gdy romantyczne ustronie z gwiazdami i księżycem zastępuje „chata ze szkłem” a na uwertury miłosne w rodzaju sceny balkonowej nie ma czasu, bo od razu następuje akcja sceny... Łóżkowe, właśnie owa szekspirowska tragedia romantyczna, właśnie z owym włoskim sosem kwiecistej mowy miłosnej i z całą przesadą uczuć znajduję masy odbiorców. Dowód? Ogromna frekwencja w łódzkim Teatrze Powszechnym.

Na wypełnionej szalenie widowni publiczność słucha owych „metafor od siedmiu boleści”, czyli dialogu miłosnego Romea i Julii, niemal z nabożeństwem, na przebieg akcji patrzy z napięciem, a młodzież wypełniająca prawie w polowie teatr — wychodzi poruszona, z czerwonymi od płaczu oczyma. Dlaczego? Czy istotnie dlatego, że jest tu i trucizna, sztylet i szpada, i trup za trupem gęsto padający, niczym w amerykańskich westernach, w których przeważnie także szlachetność uczuć zwycięża? Czy, że melodramat łatwy, wyciskający z oczu łyż wbrew woli, niczym świeża cebula, podobnie jak czyni to „Barbara Radziwiłłówna”, żeby nie rzec i... „Trędowata”?

A może jednak nie tylko, że wampulka, trucizna, sztylet i nawet nie to, że młodzież widzi w tej sztuce odbicie swoich pokoleniowych trosk — trudność porozumienia się ze starszymi, mimo dziwniejszej możliwości samostanowienia o samych sobie?

Czymże jest więc nieśmiertelna historia dwojga kochanków, odżywiająca zresztą wciąż we współczesnych sztukach teatralnych, których zasadniczy wątek dwojga młodych pozostaje nienaruszony, a zmieniają się jedynie realia, jał

zmiennają się epoki, obyczaje? Wspominam tu czeską sztukę okupacyjną o tym samym wątku, w której sprawą dzielącą kochanków jest nie niezgoda rodziców, ale fakt, że jedno z nich jest ukrywającym się Żydem, wspominaam amerykański musical „West Side Story”, w której zwaśnione rody Kapuletów i Montekich zastąpiono zostały przez dwa zwalczające się gangi młodzieżowe.

Jarosław Iwaszkiewicz, autor przekładu „Romea i Julii” gra-

matyki czy filozofii jego dzieł, zresztą także na literackim aktualizowaniu się tej problematyki w dziełach nam współczesnych. Bo, na dobrą sprawę, cóż więcej ponad to, co powiedział swoją śmiercią tych dwoje włoskich dzieci, mówi nam dziś w tej materii w swojej gestii, splecionej, zawierającej jakąś sumę doświadczeń naszej epoki, klęsk, słabości, niespełnionych marzeń, upadku współczesnego człowieka — Malcolm Lowry w powieści „Pod wulkanem”? Przez

WANDA KARCZEWSKA  
**NieMożna żyć**  
**BEZ MIŁOŚCI**

nego w Łodzi, obecny na jednym z przedstawień, postawił sprawę prosto: mit Romea i Julii to odwieczne ludzkie marzenie o szczęściu osiąganym przez miłość. W zarze i czystym blasku tej miłości zapominamy o naszej pospolitoci uczuć, czujemy się przez chwilę lepszymi, wznioślejszymi, zdolnymi do uczuć wielkich i głębszych. Ta sztuka pozwala nam przeżyć katharsis-oczyszczenie. W pojęciu Boya tajemnica aktualności tej sztuki leży w tym, że Szekspir na rzeczy proste kaze nam patrzeć ze zdumieniem. „Miłość — słowo, pojęcie tak spopolitowane, tak nadużyte, że zapomina się niemal o ich głębokiej tajemnicy. A przecież ten łuk tęczowy, rzucany między elementem zwierzęcym w człowieku, a elementem boskim, to jest jedna z rzeczy najbardziej osobliwych”. Myślę, że wydobycie z natury ludzkich uczuć tej właśnie rzeczy osobliwej, tej tajemnicy, która pozwala na sublimację zwierzęcego instynktu w powinowactwo duchowe, w przeżucie harmonii, która — jak mówi Boy, racjonalista i wesoły cynik, a tu zaraz filozof miłości — stwarza jedynostkę danego obiektu, budząc — czasem zdadne uczucie, że tylko ten, albo ta zapewniają warunki szczęścia drugiej istocie — myślę że to właśnie będzie jeszcze długo zaprzęta uwaga widowni, a nie jestem wcale niepewna, czy od czasu do czasu nie przyjdzie do głowy także naszym współczesnym chłodnym racjonalistom i wypalonym ich towarzyskom, sprowadzającym tę sprawę trywialnie do fizjologii.

Genialność Szekspira polega na ciągłym aktualizowaniu się proble-

całą książkę przewija się jak motto, sentencja uzyskiwana z każdego doświadczenia, upadku i słabości, także upadku człowieka jako istoty społecznej, przewija się ta sentencja mówiąca o ostatnim skrawku ratunku dla człowieka, ocalenia, o ostatniej nadziei nadania mu jakiegoś sensu: nie można żyć bez miłości.

\*\*\*

Pozostawałaby rzecz najtrudniejsza: dziś kiedy tak bardzo zmienił się nie tylko język potoczny, ale i język literacki, zmieniły się znaki uczuć, kiedy cecha czasu jest raczej wstydlwość uczuć, pokrywana szorstkością i drwiną — pozostaje kwestia: kim to obsadzić, jak to grać, jaki ton nadać tej sztuce. Do pewnego stopnia Szekspir wyznacza ten ton: mowa jest o ludziach gorącego Południa, z ich odrębnym, żywszym temperamentem, wielomównością, gestykulacją, a i nasilenie rozpacz Julii też uwarunkowane jest obyczajowością epoki: cóż miała za wybór przed sobą dziewczyna owych czasów; zamałżwić się lub klasztor. I jednocześnie ten Szekspir zamknął akcję w czterech dniach: w tym krótkim czasie ta dziecko-dziewczynka, nieświadoma zła życia, zamienia się w świadomą kobietę; zmuszona wobec groźby innego małżeństwa do przekroczenia barier konwenansów swej epoki, robi to z całym ryzykiem, z intuicyjnym znuwaniem zasad gry psychologicznej. Ale zdać się na Szekspira w wyborze tonu sztuki — to znaczy tyle, co mieć parę aktor-

ska, która by w sobie miała za-

razem i autentyczną młodość z jej niewinnością i zarazem dojrzały zasób środków aktorskich, zezwalający na pokazanie całego rozwoju uczuć — od ich niewinności, poprzez gorączkę zmysłowego pożądania i powagę tragicznej decyzji.

Roman Sykala poszedł po takiej samej linii, jak kiedyś, w tamtym dwudziestolecu Arnold Szyfman, obsadzając Julię nikomu lub niewiele przedtem znaną p. Lubieńska, a Romea — p. Pawłowski, Boy pisze, że Lubieńska była Julia niepospolita, przeszła przez wszystkie tony — od naiwnej trusi, poprzez rozkwitającą kobietę i nieśmiała kochankę, poprzez furję zmysłów miłości i rozpacz aż do tragicznej powagi — bez jednej fałszywej nuty. Pochwała to, zaiste, niepospolita, gdyby nie to, że nie dowierzam Boyowskiemu ocenom aktorstwa. Zawsze mi się wydawało, że słyszy on raczej własne wyobrażenia o tekście, niż aktorce czy aktorowi. Pola Raksa, grająca Julię w Teatrze Powszechnym, słuchaczka PWST oraz Jerzy Kamas, młody aktor tegoż teatru, mają kilka niezaprzeczalnych walorów: prawdziwy wdzięk młodości, sceniczna uroda, urok cielesny; ładnie mówią wiersz. Pozwala im to na oddanie z wielkim prawdopodobieństwem początkowych faz rozwoju uczuć Julia ma ładną scenę z szalem, oboje wzruszającą scenę zapatrzenia się w siebie na balu, ale na reszcie zabrakło Poli Raksi — co jest rzeczą zrozumiałą przy tej młodości w ogóle i młodości scenicznej w szczególności — środków aktorskich, siły dramatycznej, aby mogła oddać siłę i prawdę uczuć, i przeżyć Julii dramatycznej i Julii tragicznej. Julia Raksy jest zbyt długo i tylko dziewczyczka, jest to Julia infantylna, nie bez swego uroku zresztą, ale bardziej żalona pod koniec niż tragiczna. Zaczyna to niepokoić już w scenie balkonowej, w której za dużo jest dziewczęcej kokiety — trochę tu przypomina się warszawska specjalistka od ról małych dziewczynec, Traczykówna — za mało tego wszystkiego, co się w Julii pod tekstem miłosnym kryje i już w tej scenie zapowiada jej przyszłe losy.

Ale z rolą ta przecież paraty się największe aktorki świata. Modrzejewska, wleczając recitale scen wybranych, grała Julię bodaj dwadzieścia razy, a jeszcze z okazji jej występów londyńskich pisało, że miała dobrą, scenę balkonową. A reszta roli? Dopiero w r. 1879, zatem gdy Modrzejewska miała już lat 39, światowy rozgłos, szereg wielkich kreacji na scenach polskich, angielskich i amerykańskich, krytyka warszawska (Gawalewicz „Gazeta Polska”) skłoniła ją Modrzejewskiej przyznać pełny sukces.

A co do osiągnięć aktorskich w roli Romea to dziewiętnastowieczny krytyk warszawski, Władysław Bogusławski z entuzjazmem i uznanie pisał o włoskim wykonawcy roli na scenach warszawskich, o Rossim, w chwili gdy aktor ten miał lat... czterdzieści, początki lysiny, nieźła tusz i więcej powierzchownych pozorów na oje niż kochanka. Wiek nasza młodziutka dwójka aktorów — miałaby przed sobą jeszcze sporo czasu — jeśli chodzi o odniesienie takich sukcesów w tej roli, jakie udało się osiągnąć Modrzejewskiej i Rossiemu.

Przedstawienie dyr. Romana Sykala ma, jak wszystkie jego spektakle, dobre, żywe tempo. Szkoda mi jednak pewnych skrótów, zwłaszcza owej sceny z muzykantami po pierwszym, rzekomym zgonie Julii. Nie znaczy ona tyle, co na przykład rozmowa grabarzy w „Hamlecie” po śmierci Ofelii, nie prowadzi do bezpośrednich dywagacji filozoficznych (jak np. rozmowa Hamleta z czarką Yorricka), ale odpatetyzując „operowy” moment rozpacz Kapuletów po stracie córki, daje ona wyobrażenie o szekspirowym widzeniu pełni życia, w którym trywialność i kłopoty odiera się o patos i dramat.

Z ról — najlepiej zapamiętuje się jedna postać Mamki w wykonaniu Alieji Sobieraj. Postać ta, świadoma siebie, swego miejsca w świecie Montekich i Kapuletów, trafna w odczuciu szekspirowskiego humoru, podana została faktownie i smacznie, jak na swój rubaszny tekst.

Główne role grał: Kapuletów — Julia Kosowska i Antoni Żukowski, Tybalda — Ryszard Sobolewski, Montekich — Halina Taborowska i Brunon Bukowski, Merkucja — Włodzisław Skoczył, Benvoła — Mirosław Szonert, Oca Laurentego — Czesław Przybyła, Księdza Weron — Leon Niemczyk.

Scenografia tym razem spoziała w doświadczonej rękach Aleksandra Jedrzejeckiego i Jadwigi Przeradzkiej; przy tej okazji trzeba sobie (i innym) uświadomić, jak haniebnie mało i źle pisze się o tej tak bardzo ważnej stronie spektaklu, o oprawie plastycznej, która nieraz szczęśliwie sugeruje koncepcję przedstawienia. Ale kto z nas temu sprosta? Tej palacej konieczności odpowiedzialnego pisanca o łódzkiej scenografii.

## REFLEKSJE Z PÓŁOBROTU

Krytyka kulturalna, jakkolwiek dziedziną sztuki się zajmuje, zawsze musi przyjmować pozycję obronna wobec dwóch koronnych zarzutów. Pierwszy wypomina jej, że nie dostrzega czy nie docenia pewnych zjawisk, skądinąd uważanych za istotne, że nie dość jasno uświadamia sobie wagę określonych problemów. Ten zarzut godzi oczywiście w podstawy stanowiska krytycznego. Drugi natomiast sugeruje krytyce, że przecenia pewne zjawiska, że przy pomocy słowa drukowanego nadaje im rangę, na jaką nie zasługują, że donrowa do paradoksalnej sytuacji, kiedy to sprawy mierzgane znaczenia zostają usatysfakcjonowane pokazanym pomnikiem. Ten zarzut oczywiście również celuje w zasady racjonalnej selekcji zjawisk, wchodzących w skład kompleksu różnorodnych przejawów kultury. Telewizja, oceniana przez krytykę, jest niestannie wystawiona na obstrzał ambiwalentnych wobec niej przekonań. Jedni domagają się pełniejszej i wnikliwej analizy, uzasadniając te potrzeby rozmiarem zjawiska, które dawno już przekroczyło próg ekskluzywności i stało się najdoskonalszym przykładem zjawiska masowego. Inni rezygnują z przyznawania telewizji większego znaczenia i ignorują ją, odwracając się do niej plecami. Wątpia w korzyści płynące z małego kina, powątpiewając wyrażają się nawet o wpływie, jaki może mieć telewizja na kształcenie przekonań opinii publicznej. Ci przeciwnicy stanowią spore grono, lecz ich wytrwałość, gdy idzie o utrzymanie swego przeświadczenia. Czasem tylko zdarza im się spojrzeć ukradkiem na ekran i na jego zwolenników. I wtedy nie sposób ukryć, że i do nich docierają okrutny faktów, które jednoznacznie podważają ich negującą znaczenie telewizji postawę. Czy fakty te mają w życiu społecznym jakąkolwiek wagę. Wystarczy dokończyć małego przeglądu.

Sociologowie francuscy twierdzą, że w ich kraju daje się ostatnio zauważyć znaczny spadek rozwodów. Małżeństwa żyją zgodnie. Zwłaszcza młode małżeństwa, które najczęściej ubiegają się o rozwód czy separację. W poszukiwaniu przyczyn tej sytuacji socjologowie wpadli na wyraźny trop: skrócił się czas codziennej nieobecności młodych mężów w domu, którzy obecnie chętniej oglądają wieczorami telewizję.

Wkrótce po zwycięstwie Johna Kennedy’ego w wyborach prezydenckich wysunięto hipotezę, że nie bez znaczenia dla wyniku była ogromna fotogeniczność przyszłego prezydenta. Większość widzów głosowała na Kennedy’ego, który w czasie przedwyborczych debatów telewizyjnych prowadzonych wspólnie z Nixonem zafascynował swoje audytorium męskim skupieniem i teźną. Rozbieganie nerwów czy Nixon’a w polaczeniu z rozmowami o przyszłej polityce nie mogły wzbudzić w nim większego zaufania.

Wyniki ostatniego pollingu przeprowadzone wśród tegorocznych amerykańskich wyborców do Parlamentu wykazały, że wyraźna przewaga ma aktualnie Partia Pracy. Równocześnie jednak próbka badała opinię publiczną dowodzi, że jesienią szanse Labour Party spadną na korzyść Partii Konserwatywnej, gdyż wtedy właśnie program telewizyjny będzie znacznie bardziej obciążony i wielu zwolenników Partii Pracy zostanie w czasie wyborów przy odbiornikach. Nie jest stwierdzone, czy z tego względu premier Home zdecydował się przesuwać wybory na jesień.

Senator Seranton, który w swoim czasie przepowiedział zwycięstwo Kennedy’ego w rozgrywkach o prezydenturę twierdzi, że wśród kandydatów republikańskich największe szanse ma Cabot Lodge. Cabot Lodge jest bowiem dobrze znany telewizjom z okresu, gdy był przedstawicielem Stanów w ONZ. Fakt, że pamiętała jego sylwetkę może przesądzić, twierdzi Seranton o jego popularności wśród wyborców.

Tyle faktów. Trudno je interpretować. Brzmia wół humorystyczne, w pół groźnie. Chyba jednak bez większego ryzyka można na ich podstawie stwierdzić, że wrażenia wzrokowe wyjątkowo silnie utrwala impulsy świata zewnętrznego, że nad wszelkimi innymi doznaniem panują wszechwładnie doznania ruchomych obrazków. A co z zagorzałymi wrogami wpływu telewizyjnego? Cóż, pewnie nadal będą odwracać się plecami. W sprawach zasadniczych zaś będą decydować ci en face telewizora.

MIKS





Hanna Bedryńska w „Ladacznicy z zasadami”

Fot. J. Neugebauer

## Zwierzenia aktorów

Heleńko muszę mówić o sobie i o swojej pracy od czuwam pewne zażenowanie graniczące z trzęsą. Jest w pracy nad rolą aktora zawsze element nieświadomości, czy podświadomego działania-instynktu i te sprawy nie nadają się do analizowania. Dlatego najchętniej i chyba najpełniej wypowiadam się na scenie.

Kiedy byłam jeszcze w szkole aktorskiej, pamiętam, że Al. Zelwerowicz powiedział do nas: „Musicie w życiu dużo przeżywać, kochać, cierpieć — a potem umieć przenieść te własne doświadczenia na scenę”. Jest to prawda; każde osobiste przeżycie, tak złe jak i dobre, wzbogaca osobowość aktora i jego środki wyrazu.

# HANNA BEDRYŃSKA

Człowiek, który mało przeżywa lub nie zna życia i jego konfliktów, nigdy nie będzie dobrym, pełnym aktorem i nie potrafi „ożywić” odtwarzanych przez siebie postaci.

Jaki typ ról najbardziej mi odpowiada?

Zawsze grywałam amantki i zamierzam grać je jak najdłużej. Uważam, że aktorka dobiegająca czterdziestki nie powinna w ogóle myśleć

o zmianie emploi. Jest to okres największego rozkwitu twórczego w życiu aktorki, kiedy ma się pozostawiając młodzieńczą nieporadność, naukę, zbieranie doświadczeń, kiedy się już opanowało środki wyrazu i rzemiosło, kiedy można się najpełniej wypowiedzieć. Nie, nie myślę wcale o przejściu do ról charakterystycznych; uważam, że aktorka musi się przed takimi myślami bronić — to chyba zrozumiałe. Jedyny wyjątek może tu stanowić wielki popis aktorski np. „Stara” w „Krzesłach” Jonesa — to rola, którą na pewno z radością zagraliby każda (także młoda) aktorka.

Mnie interesują wszystkie dobre role w dobrej literaturze, tak komediowe jak i tragiczne. Na pierwszym miejscu stawiam dramata klasycy i pseudoklasycy, a więc interesuje mnie tragedia grecka, a także Szekspir, Racine, ten ostatni o wiele pełniejszy od Cornille'a który jest dla mnie nieco papierowy. Postacie, które mnie pociągają, muszą być żywiołowe, pokazywać człowieka (raczej kobietę) z jej namiętnościami, słabościami, walką (nie zawsze zwycięską) z tymi namiętnościami, ze sobą. Postacie wylamujące się ze swego środowiska, czy epoki, pełne buntu, rozbijające konwenans. Sto-

wem — amantki, ale soczyste, prawdziwe, żywe, charakterystyczne.

Jakie z granych przeze mnie ról najbardziej lubiłam? Z dawniejszych: „Dzie wczym z dzbanem” (reż. Małkowska), Izabellę w „Miarki za miarkę”, Joannę z „Nocy listopadowej”, Maszę z „Trzech sióstr” — to wszystko w reż. Dejmkę. A z ostatniego okresu najbardziej lubiane przeze mnie role to: „Zabusia” i „Ladacznica z zasadami”.

W tej chwili próbuję aż w trzech sztukach jednocześnie: w jednoosobowej interesującej sztuce Andre Queleena „Piotr i ja”, (w „Zamachu” Irwinga Shawa rolę Niny i w nowej adaptacji „Kramu z piosenkami”). To wymaga bardzo intensywnej pracy i ogromnego skupienia. Bardzo trudno pogodzić to z obowiązkami żony i matki. A w domu jest tyle spraw, które nie mogą czekać na po-premierie i muszą być zatłuwione na bieżąco. Moja pięcioletnia córka absolutnie nie uwzględniła moich zajęć i domaga się swych słusznych praw. Wciąż mnie pyta: Czy dziś grasz? A gdy ustysz, że nie, woła z zapętem:

— To, zamawiam, zamawiam wolny wieczór!

Zwierzyła mi się też niedawno, że nie będzie aktorką tylko lekarzem.

— Dlaczego lekarzem? — zapytałam.

— Bo nie będę musiała pracować wieczorem.

Nie łąda to wysiłek dzielić swój czas między życie zawodowe i rodzinne. A przecież nie chcę dopuścić, by to drugie cierpiało z powodu mej pracy.

W tych rzadkich chwilach, w których dysponuję w tym czasem, najchętniej przebywam z córeczką, którą o wiele za mało widuję, poza tym odpoczywam przy dobrej muzyce, a jeśli mogę to pływam i jeżdżę na rowerze. Trzeba przecież także dbać o linię.

Rozmawiała Irena Zuchowicz

KRYSTYNA  
WOJTASIK

## RUBIKON czyli o ŚLUBACH

Zwykle bywa tak, to znaczy ostatnio, od kilku lat, że za jeżdżają taksówką, z fasonem. Mineły czasy, kiedy wpadało się tu tylko, byle jak, byle szybciej załatwić formalność. „Ludzie zrozumieć znaczenie aktu prawnego cywilnego ślubu” — mówi urzędniczka USC Łódź — Wdzew.

Więc najpierw jest ten przyjazd. Potem kilka kroków przez alejkę pełną kałuż od-bijających chmurne, marcowe niebo (gdy przygrzeje słońce białym szpilkom nie będzie już groziło kleiste błoto i panny młode będą mogły iść swobodnie, bez obawy), potem schody kółkiem wspinające się ku górze, odnowione, świeżutkie, jak wszystko tutaj, jak

mury pałacyku, jego ściany, sufity, podłogi i meble. „Ludzie najchętniej u nas zawierają śluby” — mówi zadowolony i dumny ze swego „lokalu” przy Piotrkowskiej 153 (wejście na salę ślubów od Alei Kościuszki) Wł. Dardziński, kierownik Urzędu Stanu Cywilnego Łódź-Sródmieście. — „Mamy także zamieszkańców. Z innych dzielnic i województwa muszą się o to starać”.

Wreszcie poczekalnia, pełna miękkich foteli, z niszą, w której stoją stylowe meble i jedna ściana wypełniona szerokimi, rozsuwanymi drzwiami o kryształowych szybach. Przez te szybki widać doskonale salę ślubów. To tam.

Ponad sejszonym gwarem rozmów wystrzela nerwowo chichot kobiet, mężczyźni, ci młodzi pragnąc zachować twarz, mają miny niewyraźne, chcą być jednocześnie uroczyści i odrobnie kpiący. Ślub! To tak, jakby dobrowolnie strzyżek na szyję, bracie, i przepadłeś. A ta egzakuja to jej sprawka, żartują, ale najczęściej to on potem jest „katem”. Teraz oboje są pełni wiary w siebie i w przyszłość i tak być musi, jeśli to normalny ślub, to znaczy jeśli się kochają, a nie tylko konieczność. Bo czasem mają po 16, 17 lat, dziecko w drodze (ona rzuca szkołę) i wtedy muszą.

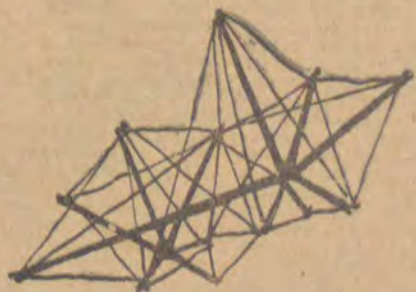
Bywa tak, co prawda, rzadko, ale jednocześnie coraz częściej. „To smutny objaw — mówi urzędniczka USC-Wdzew — te śluby za pozwoleniem sądu”. Również rzadko pobierają się ludzie starzy, już owdowiali. Wiek tych, którzy świadomie, dobrowolnie i najczęściej przekraczają Rubikon to dwadzieścia kilka do trzydziestu pięciu lat. A zostało przecież powiedziane, że świadomie nałożone więzy to właśnie jest wolność, więc nikt nie przejmując się żartami kolegów pana młodego i każdej w głębi ducha przyznaje, że dotąd nie wynaleziono nic lepszego, jak małżeństwo; mąż i żona, rodzina, komórka społeczna, podstawowe ogniwo, które jedynę w łańcuchu społecznych powiązań może być szczęściem. I chronione jest przez prawo, a ono daje poczucie bezpieczeństwa i szacunku dla samego siebie.

Pannę młodą można nieomylnie rozpoznać po bukietie kwiatów, białych rękawiczkach, czasem białej sukni z krótkim welonem. Kiedy rozlegają się dźwięki „Marsza weselnego” Mendelssohna i wozy rozsuwa drzwi o kryształowych szybach, stoi już u boku swego mężczyzny otoczona orszakami krewnych i znajomych. Potem wszyscy idą przez salę i siadają w krzesłach o wysokich oparciach. Państwo młodzi sami, na przedzie. Spoza długiego stołu o lśniącym blacie, na którym znalazła także miejsce doniczka różowych azalii, wita ich powstaniem i krótką przemową zawierającą cytaty z Kodeksu Rodzinnego na temat równych praw i obowiązków mężczyzny i kobiety w małżeństwie, kierownik Urzędu Stanu Cywilnego, jednocześnie dyskretnie stwierdzając „tożsamość” osób na podstawie fotografii w dowodach osobistych. Zgodnie wypowiadają swoje „tak” (zdarzało się i „nie”), wobec czego przystępują do słów przyrzeczenia. „Ja... biorę ciebie... za małżonka i przyrzekam uroczyście, że uczynię wszystko dla dobra założonej przez nas rodziny”. Teraz wyraźnie drżą gałzki asparagusa w bukietcie panny młodej, a po twarzach starszych i młodszych kobiet płyną nie skrywane łzy. Akt małżeństwa został dokonany. Trzeba go potwierdzić podpisami. Tu pierwszeństwo ma wreszcie młoda żona, bo swoje „tak” i słowa przyrzeczenia wypowiadała jako druga, po mężu. Coś jednak jeszcze u nas pozostało z tradycyjnej supremacji mężczyzny...

W akcję wkracza fotograf, każde się uśmiechać najpierw przy podpisywaniu aktu ślubu, potem podczas wymiany obrączek, a nawet błyska swoim fleszem i później, kiedy pozostali już tylko do złożenia gratulacji i życzenia poparte uśmiechami, łzami, pocałunkami i tulipanami. Muzyka nieprzerwanie i dyskretnie płynie z niewidocznego magnetofonu. Ale trzeba się spieszyć, bo już następną parą oczekuje na swój fragment marsza weselnego.

Przed Wielkanocą, Bożym Narodzeniem i w okresie karnawału ślubów jest najwięcej, w lipcu i sierpniu krzywa gwałtownie spada, aby znów podnieść się w pierwszych dniach września. Od mniej więcej trzech lat: USC-Sródmieście daje ich ok. 1500 rocznie (obecnie, do sierpnia, połączony jest z Polesiem) USC-Górną i Bałuty po ok. 1400 rocznie, USC-Wdzew przyznaje się tylko do 700. W ich liczbie znajdują się i śluby zawierane ponownie przez rozwiedzione formalnie pary (Śródmieście — 15 rocznie) i przez ludzi, którzy po np. kilkunastu latach pożycia dowiadują się, że nie są małżeństwem, ponieważ w 1945, 46 czy 47 roku wzięli tylko ślub kościelny, a teraz np. ich córka szykująca się do własnego ślubu zainteresowała się swoją sytuacją prawną... Takich przypadków jest wiele. Bigamie zdarzają się niezmiernie rzadko i raz tylko kobieta była bohaterką tego rodzaju skandalu.

Teraz w USC, pracujących poza Śródmieściem, ślub może nastąpić w kilka godzin po zgłoszeniu dokumentów, najczęściej w okresie tygodnia. W związku z wejściem w życie nowego Kodeksu Rodzinnego z dniem 1 stycznia 1965 roku okres ten przedłużony się ustawowo do 1 miesiąca lub 6 tygodni, a dolna granica wieku naręczonych podniesiona została do 18 lat dla kobiety i 21 dla mężczyzny, który zdąży już spełnić obowiązki służby wojskowej. Dojrzeje do roli męża i ojca.



## spektakle tygodnia

### FILM

WŁOKNIARZ — „Koniec naszego świata” : : : 90% frekwencji  
WOLNOSC — „Wojna trojańska” : : : : : 90%

### TEATR

NOWY — „Maria Stuart”  
3 spektakle : : : : : 1700 widzów — 80%  
NOWY — Mała Sala — „Wieczny małżonek”  
2 spektakle : : : : : 400 „ — 100%  
POWSZECHNY — „Romeo i Julia”  
3 spektakle : : : : : 1960 „ — 98%  
„Pod własnym dachem”  
3 spektakle : : : : : 1490 „ — 75%  
BARACZA — „W pustyni i w puszczy”  
2 spektakle : : : : : 1105 „ — 85%  
„Trzecia Patetyczna”  
1 spektakl : : : : : 674 „ — 100%  
7.15 — „Odjazd 6.55”  
6 spektakli : : : : : 1866 „ — 83%  
OPERA — „Verbum Nobile”  
2 spektakle : : : : : 1341 „ — 94%  
OPERETKA — „Płaszcz z Tyrolu”  
6 spektakli : : : : : 3780 „ — 90%  
FILHARMONIA — Koncert Symfoniczny  
2 koncerty : : : : : 978 „ — 80%



